12 stron

Cena 10 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III | Kraków, dnia 15 grudnia 1946 r. | Nr 50 (107)

ANNA ŚWIRSZCZYŃSKA

POWAŻNA KLĘSKA SPOŁECZNA

Nie pisuję i nie umiem pisać artykułów. Ale sprawa jest bardzo poważna i uważam, że powinien zabrać głos każdy, kto ma coś do powiedzenia, bo pomimo pojawiających się tu i ówdzie głosów, stanowczo za mało o niej się mówi i pisze.

Chodzi o walkę z alkoholizmem.

Nie będę się rozwodzić nad faktami, które wszyscy mniej lub więcej znają. Celem moim jest raczej wywołać dyskusję, wezwać do zabrania głosu ludzi rozmaitych zawodów, rozmaitych środowisk, aby dali możliwie najbardziej wszechstronny obraz sytuacji i zastanowili się nad sposobami walki ze złem.

Piją wszyscy. Pije młodzież szkolna, wieś, robotnicy, inteligencja. Piją o wiele więcej niż przed wojną, a i to nie było wcale mało. Najbardziej przykro objawia się to może na ziemiach zachodnich, gdzie w wielu miejscowościach bary są pierwszym znakiem nowego życia wśród ruin.

Pije cała Polska. Co więcej — cała Polska zdaje się być z tego dumna. Picie jest jednym z dowodów narodowej tężyzny. Ludzie na ulicach patrzą niemal z rozczuleniem na zataczającego się pijaka. Pijackie piosenki w teatrzykach i kawiarniach cieszą się największym powodzeniem. Pisma humorystyczne czerpią pełnymi garściami ze świata jednej głębszej. Popisy zalanego szofera czy zalanego literata wielbi się tam z iście sarmacką fantazją, która przypomina szlacheckich pamiętnikarzy, opisujących pijackie rekordy Radziwiłła Panie Kochanku. Czyżby istotnie nie stać nas było od tamtych czasów na stworzenie nowego stylu życia?

Powie ktoś: przesada. Świat nie jest klasztorem. Pisma humorystyczne są po to, żeby się śmiać. A ludzie piją i będą pić prawdopodobnie zawsze i wszędzie. Piją wszędzie, tak. Ale nie wszędzie przybiera to rozmiary katastrofy narodowej, jak u nas. Nie wszędzie ma to tak wielki wpływ na kulturę obyczajową i — co najgorsze — na kształtowanie się charakteru narodu.

Pamiętam taki fakt z warszawskiego powstania: Osiemnastoletni, podchmielony chłopak idzie podśpiewując w biały dzień na stale ostrzeliwaną przez Niemców barykadę mimo napisu z trupią główką: uwaga śmierć. Stawia parę kroków i oczywiście pada. Z narażeniem życia wyciągnięty przez czołgających się na brzuchu kolegów umiera pół godziny później w szpitalu, w którym byłam wówczas pielęgniarką.

To niepotrzebne „bohaterstwo" po pijanemu urasta dziś w moich oczach do rozmiarów symbolu. Źródłem jego jest tak zwana kawalerska fantazja — cnota wybitnie popularna we wszystkich warstwach naszego narodu. Ta fantazja, rzadko pożyteczna a bardzo często szkodliwa, jest jednym z rysów naszego narodowego charakteru, mającym niewątpliwy związek z powszechnym, od wielu wieków trwającym nadużywaniem alkoholu. Rysów takich znajdzie się dużo więcej.

Nic dziwnego. Przecież całe pokolenia polskiej szlachty i rozpijanych przez nią polskich chłopów przez większą część swego życia patrzały na świat po pijanemu. Powstałe stąd swoisty sposób wartościowania i styl życia są dziś jeszcze żywe w narodzie, gdzie właściwe pijakom zawadiactwo i brawura są o wiele więcej cenione niż zalety ludzi trzeźwych: pracowitość, inteligencja czy uczciwość.

Długie wieki powszechnego pijaństwa przyczyniły się do rozwoju i wzmożenia naszych najbardziej zgubnych wad. Zastanówmy się nad psychiką człowieka pijanego, a dostrzeżemy jej przerażające podobieństwo do psychiki Polaka.

Człowiek pijany jest optymistą. Lubi efektowny gest, jest lekkomyślny i rozrzutny. Kieruje nim nie rozsądek, lecz uczucia, często gwałtowne. Jest zdolny do potępiania lub uwielbiania, nigdy do bezstronnej oceny. Posługuje się gotowymi sloganami i nie potrafi wyciągnąć wniosków z życiowych doświadczeń ani przystosować się do zmienionej sytuacji, bo w ogóle nie jest zdolny do logicznego myślenia i rozumowania. Człowiek pijany jest skrajnym indywidualistą i anarchistą. Nie nadaje się do akcji zespołowej, do podporządkowania się cudzej woli i przepisom. Szczególnie silnie przejawia się u niego żądza niszczenia lub samozniszczenia. Z taką samą brawurą, z jaką rzuca na ziemię szklany kieliszek, naraża na kule swe własne ciało lub na bombardowanie — zabytkowy budynek mieszczący bibliotekę. Człowiek pijany wreszcie nie jest zdolny do trwałego wysiłku, nie jest zdolny do pracy. Obce mu są: ostrożność, rozwaga, wytrwałość, zmysł rzeczywistości i poszanowanie prawa. Nigdy nie będzie pożytecznym obywatelem, bo ma pod tym względem trzy kardynalne braki: nie potrafi żyć w zespole, pracować i myśleć.

Że obraz ten jest równocześnie obrazem najbardziej tragicznych polskich ułomności — nie trudno to spostrzec. Dlatego u nas walka z pijaństwem ma specyficzne znaczenie. Jest to walka o nowy typ człowieka, o obywatela, który pracuje, myśli i szanuje prawa. Źle będzie z nami, jeśli nie wygramy tej walki.

Oburzyłby się dzisiejszy demokrata, chwiejnym krokiem wychodzący z baru, gdyby mu powiedziano, jak bardzo jest podobny — mimo całej swej postępowości — do brata szlachcica z czasów króla Sasa. Reforma rolna dała ziemię chłopom, dwór zamieniła w szkołę. Ale dzieci chłopskie, które tam chodzą — przyszli budowniczowie nowej Polski — dotąd jeszcze oddychają parującymi z jego ścian wyziewami dawnego życia. Wybitka i wypitka nie przestała dotąd jeszcze być ich życiowym ideałem.

Walka o nową moralność obywatelską, to walka o samo nasze istnienie. Do tej walki stanąć muszą wszyscy: rząd, szkoła, sądownictwo, kościół, partie polityczne, związki zawodowe, publicystyka i literatura. Nie chodzi o utopię — o to, żeby Polacy przestali w ogóle pić — ale o to, żeby psychika ich jako narodu przestała być tak tragicznie podobna do psychiki ludzi pijanych, by alkoholizm przestał być klęską narodową, a stał się — jak w innych krajach — tylko sprawą prywatną.

Przejdźmy teraz do konkretnych projektów tej walki. Sprawa ma dwa oblicza, oba prawie na równi ważne. Pierwsze: co robić, żeby ludzie mniej pili. Drugie: czym załatać lukę powstałą przez to w budżecie, w którym dochody z monopolu spirytusowego stanowią bardzo poważną pozycję. Rozpatrzmy najpierw zagadnienie pierwsze. Nie mam żadnych fachowych podstaw do wysuwania konkretnych projektów, wyliczę jednak wszystko, co mi przyszło do głowy w czasie rozmyślania nad tą sprawą.

A więc:

1) Wzmożona i ostra walka z bimbrem, którego konsumcja (pomijając fakt, że bywa często powodem ciężkich zatruć), nie przynosi żadnego dochodu państwu. W Polsce pije się więcej bimbru niż monopolki. Wieś, na przykład, pije prawie wyłącznie bimber własnej produkcji, nie opodatkowany na rzecz państwa. Jej „wytrzeźwienie" nie przyniesie uszczerbku w budżecie.

2) Wprowadzenie dni bez wódki, jak są dni bez mięsa i bez ciastek. W te dni wolno byłoby sprzedawać piwo i wino. Nie można żądać od obywatela, który obecnie litrami pochłania spirytus, aby od razu przestał pić. Dni bezwódczane stałyby się szybko fikcją, jeśliby w te dni nie pozwolono pić niczego. Wtedy zarówno gość, jak pozbawiony zysku restaurator, będą się starali obejść przepisy i na pewno je obejdą. Ale jeśli zamiast wódki wolno będzie sprzedawać piwo i wino — restauratorowi nie opłaci się ryzykować i potrafi zachęcić gościa do konsumcji tych napojów.

3) Masowa produkcja różnych gatunków piwa i lekkich win owocowych, tańszych od wódki. Zakaz nie jest najlepszą metodą wychowawczą. Jeśli ma być skuteczny, musi być poparty pozytywnym wezwaniem i zachętą. Odbierając obywatelowi wódkę trzeba dać mu w zamian coś innego, mniej szkodliwego. Jakąś atrakcyjną nowość, która by, sama stawszy się modną, wyparła modę picia bimbru. W tym celu powinno się rozpocząć masową produkcję taniego piwa oraz tanich win owocowych różnych gatunków. Trzeba przypomnieć Polakowi, że piwo jest starym polskim napojem. Trzeba niską ceną zachęcić go do picia wina. W ten sposób wódka straci swe powszechne zastosowanie i swą siłę przyciągającą. Pić bimber będą tylko ci, którzy stali się już nałogowcami; duża część konsumentów — zwłaszcza kobiety — przejdą z pewnością na wino.

4) Podniesienie ceny wódki, aby była o wiele droższa od piwa i wina. Obecnie jest inaczej.

5) Kary za pojawianie się na ulicy w stanie nietrzeźwym. Istnieją wprawdzie i obecnie odpowiednie przepisy, ale zbyt rzadko są stosowane w praktyce (por. wzmiankę prof. Grzybowskiego w jednym z niedawnych numerów „Odrodzenia"). Protokół z zajścia powinien być każdorazowo przesyłany do miejsca pracy obywatela. W wypadkach stałego upijania się i publicznych awantur należało by stosować środki godzące w ambicję jednostki, np. wywieszenie w miejscach publicznych listy osób posiadających pewną liczbę protokołów. Będzie to ważne zwłaszcza po wsiach i małych miasteczkach, gdzie wszyscy się znają i gdzie ośmieszenie zucha, wodzącego rej w pijackich burdach, może się przyczynić do zmiany nastawienia opinii publicznej o wiele skuteczniej niż propagandowe broszury i odczyty.

6) Stworzenie nowego typu lokali, gdzie można będzie dostać tylko piwo i wino, uprzywilejowanych wobec innych przez koncesję na dancing, występy artystyczne itp.

Tyle nasuwa mi się pomysłów w tej sprawie, jeśli chodzi o rolę władz państwowych. Ale to nie wszystko. Do walki z alkoholizmem stanąć musi, jak powiedziałam, całe społeczeństwo. Szkoły, związki zawodowe, partie polityczne, kościół, prasa, literatura, teatr i radio. Dowcipy pijackie w naszej prasie powinny stracić swój dobroduszny i aprobujący charakter. Pijak powinien się ukazywać zawsze obarczony jeszcze innymi cięższymi grzechami, tak, by nie mógł wzbudzić sympatii czytelnika. Z programów radiowych i rewii powinny zniknąć, przynajmniej na jakiś czas, kawały i piosenki pijackie. Powie ktoś: zubożenie polskiego humoru i Wiecha. Trudno. Zżyjemy mimo ograniczeń spożycia mięsa i ciastek, wytrzymamy i to ograniczenie. Będzie ono z pewnością mniej uciążliwe a równie pożyteczne.

Wielką rolę w tej sprawie mogą odegrać związki zawodowe i polityczne, wykluczając ze swych szeregów notorycznych pijaków, siejących zgorszenie. Udział ich w kształtowaniu nowej moralności może być ogromny — a pole do szlachetnej rywalizacji — bardzo duże. Partia, która największymi literami wypisze na swym sztandarze hasło walki z alkoholizmem i najenergiczniej będzie je realizować, zyska największą zasługę w kształtowaniu się nowej psychiki polskiej.

A teraz druga strona medalu: naruszenie równowagi budżetu przez zmniejszenie zysków z monopolu spirytusowego. Wydaje mi się, że zaradzą temu:

1) Dochody z produkcji piwa i win owocowych, ewentualne wprowadzenie monopolu piwnego i winnego;

2) podniesienie ceny wódki monopolowej;

3) wzmożona walka z produkcją samogonki.

Na tym kończę ten artykuł, którego celem jest wywołanie dyskusji i poruszenie opinii publicznej. Sprawa jest godna tego, by stała się przedmiotem rozważań w sejmie, by zainteresowała się nią prasa całego kraju przez ogłaszanie ankiet wśród czytelników, przez wprowadzenie stałych kącików antyalkoholicznych itp.

Nie pochlebiam sobie, że mój głos będzie miał tak silne echo, ale może pobudzi do odezwania się ludzi bardziej niż ja kompetentnych. Powinien wypowiedzieć się na ten temat ekonomista i polityk, społecznik i lekarz, prawnik i nauczyciel — niezależnie od przekonań politycznych. Kto wie, może przy tej okazji „Kuźnica" zacytuje „Tygodnik", a „Tygodnik" — „Kuźnicę"? Ot, chociażby dlatego, żeby przypomnieć społeczeństwu, że choć wiele jest spraw, które dzielą Polaka marksistę od Polaka katolika, o wiele więcej jest takich, które ich łączą.

Anna Świrszczyńska

LEONARD PODHORSKI-OKOŁÓW

DWA WIERSZE

Pamięci Żony i Córki.

1

Ta sama gwiazda błyszczy nocą ciemną,
Za oknem lśniąca na wysokim niebie,
Na którą patrzeć tak lubiłaś ze mną...
I cóż po gwieździe — jeśli nie ma ciebie!

Tyle jest tutaj domów. Okien tyle
Spogląda na mnie z bliska i z daleka.
Ganeczki w winie, kwiaty i motyle...
Lecz w żadnym oknie żadna z was nie czeka.

Żałosna zazdrość, zazdrość rozpaczliwa
Drżeć każe wargom, zamknąć zmusza oczy,
Gdy widzę: z mężem idzie żona ż y w a
I ż y w a córka z ojcem swoim kroczy.

I gorycz: głucha, niewypowiedziana,
Z dniem każdym wzbiera we mnie — i nie gaśnie!
I coraz głębiej boli moja rana,
Coraz samotniej mi i coraz ciaśniej...

2

Usnęła ziemia po spiekocie letniej,
Świeżością rzeską tchnie wieczorna rosa -
I coraz wyższa — świecąc coraz świetniej,
Pełnia samotnie płynie przez niebiosa.

Znieruchomiałe milczą w mroku drzewa,
Liść bezszelestnie stygnie w ich koronie,
Owoc w ogrodzie pachnie i dojrzewa,
I do modlitwy się składają dłonie.

Gdzieście wy teraz? Wśród tych gwiazd, co świecą,
Czy na tej pełni, co dziś tak jaśnieje?
Czy myśli wasze również ku mnie lecą?
Czy wspominacie ziemskie nasze dzieje?

Wam nie tak tęskno — wyście razem obie..
I gdy stąd wzrok mój leci w waszą stronę,
Stoicie może gdzieś tam, na tym globie,
Do siebie zwykłym ruchem przytulone.

I może mówisz do niej — gdy z ust moich
Wybiega właśnie wiersz ten mój pokutny:
„Iżeczko, widzisz — tatuś nasz tam stoi
I tutaj ku nam patrzy... Taki smutny!"

Brwinów, 1946.

PAWEŁ KONRAD

Powieść o duszy rewolucjonisty

Jest zima roku 1944. Łagodna, bezśnieżna zima w Mediolanie. Nagie konary drzew i obnażone ruiny domów sterczą ku słońcu, jakby wyczekując wiosny, która powoli nadciąga od południa. Wojska wyzwoleńcze przysiadły do skoku u stóp Monte Cassino. W Ancio lądują desanty. Zima włoskiego faszyzmu. Przedwiośnie wyzwolenia. Na ulicach miasta i na podmiejskich szosach raz po raz rozlegają się krótkie serie wystrzałów lub huki wybuchających bomb. Włoscy patrioci dokonują zamachów na niemieckich i rodzimych faszystów. Wzmaga się terror. Aresztowania, łapanki, egzekucje zakładników. Przedśmiertne drgawki ginącego reżimu, podtrzymywanego już tylko przez SS, milicję i „neo"-faszystowskie bojówki najmitów z GAP czy GNR (gruppi armati popolari, guardia nazionale republicana). Na każde uderzenie odpowiadają patrioci nowym zamachem. Nie trudno jest skryć się po zamachu. W robotniczej dzielnicy każde drzwi uchylają się przed zbiegiem, który milczy i którego nikt tu o nic nie pyta.

Przedziwną książkę o tych strzałach zamachowców i o tym milczeniu zdyszanego zbiega napisał uczestnik walk, komunista włoski, Elio Vittorini. Tytuł oryginału brzmi „Uomini e no", w szwajcarskim wydaniu nazywa się ta książka „Der Mensch N 2". N 2 — to pseudonim bezimiennego bohatera powieści, bojownika — jednego z tych, którzy w akcji rewolucyjnej szukają zaspokojenia pragnień własnej duszy, rozdartej osobistą tragedią. Bohater, z którym autor się utożsamia, pokazany jest jako aktywista i jako cierpiętnik. Wstrząsające wyznanie człowieka, który przychodzi do ruchu rewolucyjnego obarczony osobistym, utajonym cierpieniem i dla którego to cierpienie jest bodźcem do walki. Ten, nie nowy już temat i nie nowy problem wybucha z niezwykłą wyrazistością w książce włoskiego pisarza. Zdumiewające jest połączenie bolesnego aż realizmu — w opisie walki i cierpień spiskowców, w opisie upodlenia i zezwierzęcenia oprawców — z przerafinowanym psychologizmem introspekcji. Z taką samą wyrazistością ukazane są zarówno walka polityczna, jak i cierpienia zbolałej duszy bohatera. W promieniach południowego słońca Italii odżywają nagle zagadnienia, typy ludzkie i nastroje białych nocy St. Petersburga. Gdyby nie trupie czaszki SS-manów i nie szybkostrzelne automaty, można by sądzić, że N 2 to długowłosy student Nikołaj Iwanowicz z „Narodnej Woli" a jego dwie przyjaciółki Berta i Lorena to jakaś Masza i Dunia. Bezsenne noce spiskowca na poddaszu, rozmowy z przyjaciółką o szczęściu ludzkim, stara pani — opiekunka rewolucjonisty... Włoskie wino czy dawny czaj z tulskiego samowaru? Faszystowski milicjant czy „gorodowoj" na rogu ulicy? Eh, żizń...

N 2 występuje na tle grupy bojowców, ludzi bohaterskich, ofiarnych, prostych. Dla tych ludzi udział w walce wyzwoleńczej jest rzeczą tak oczywistą, że nie potrafią oni nawet powiedzieć, jakie psychiczne bodźce pchnęły ich na drogę walki. Kochają życie, walczą o życie i życie składają w ofierze — bez żadnych kompleksów. Przywódca grupy, N 2, jest z nimi w walce, jest duszą spisku, jest głównym organizatorem i wykonawcą zamachów. Całym świadomym życiem tkwi w walce i wśród walczących, ale w milczeniu jest sam. Jego milczenie to bezsenne noce żalów, wspomnień i marzeń. Jego milczenie to Berta, ukochana kobieta, uosobienie matki, uosobienie tego, co wiecznie kobiece, to cała treść jego osobistego życia.

Ten rozdźwięk między świadomym, racjonalnym życiem rewolucjonisty a jego podświadomością ujęty jest nie jako sprzeczność, paraliżująca czyny, ale jako sprzeczność, która jest motorem czynu. Człowiek walczący o szczęście innych, sam nie zna smaku szczęścia. Czy może mieć sens walka o szczęście, jeśli nie ma się w sobie zalążka tego szczęścia? A może właśnie niewyżyte pragnienie szczęścia jest najsilniejszym bodźcem do walki? Sprzeczność między osobistymi dążeniami rewolucjonisty a jego służbą idei zostaje przezwyciężona, gdy osobisty ból przestacza się w podnietę do rewolucyjnego czynu. U N 2 końcowy akt dobrowolnego samopoświęcenia dla dobra idei pokrywa się z aktem samobójstwa człowieka zrozpaczonego.

Vittorini nie kusi się o rozwiązanie sprzeczności i w posłowiu do książki tak oto deklaruje swój stosunek do zagadnienia: „Moja przynależność do partii komunistycznej wskazuje na to, kim być pragnę, podczas gdy moja książka może tylko wykazać, kim jestem w rzeczywistości". Czy jest komunistą bohater powieści? — pyta dalej autor. I odpowiada: — w tym samym stopniu, w jakim komunistyczną jest moja twórczość literacka. W sztuce pokazuję siebie i swoją ludzką słabość. Jeśli sam jestem aktywnym komunistą, to z tego nie wynika, że i książka jest komunistyczna. W walce politycznej i społecznej decyduje wola i racjonalne przekonania, ale dla sztuki istnieje tylko odkrycie rzeczywistej duszy człowieka.

Jeśli dotychczas dążeniem wszystkich pisarzy lewicowych było znalezienie wspólnego klucza do spraw społecznych i do spraw duszy ludzkiej, klucza społecznego, który by nie od strony indywidualnego psychologizmu, ale od strony społecznego realizmu otwierał drogę do człowieka — to Vittorini obiera drogę odmienną. Człowiekiem niech się zajmuje sztuka, a ludźmi — polityka. W swojej powieści przeplata rozdziały poświęcone walce patriotów włoskich — pisanymi kursywą rozdziałami własnych rozmów z bohaterem powieści. Te porachunki z własną duszą odbywają się poza układem współrzędnych czasu i przestrzeni; to wizje, przypominające marzenia senne i, niestety, przeplatane rażącym rezonerstwem.

Próba połączenia rewolucyjnego realizmu z psychologizmem daje niespodziewane rezultaty. Rozdziały realistyczne są literacko dojrzałe i zawierają szereg wspaniałych fragmentów, o zupełnie wstrząsającej sile wyrazu. W tych rozdziałach, poświęconych sprawom politycznym, poprzez czyny ludzkie, poprzez ludzki stosunek do świata zewnętrznego — przemawia ludzka dusza. Rozdziały poświęcone nagiej duszy bohaterów nie odsłaniają tej duszy i z konieczności wpadają w rezonerstwo. Wbrew własnej deklaracji, autor jest najbardziej artystą wtedy, gdy mówi o sprawach społecznych.

Czy może być inaczej? Czy ludzkie dążenia i poglądy nie są również cząstką prawdy o rzeczywistości ludzkiej duszy? I odwrotnie: czy rzeczywistość ludzkiej duszy nie jest cząstką prawdy o społecznych i politycznych walkach ludzi? Czy naga dusza nie jest takim samym kłamstwem, jakim jest człowiek widziany tylko od zewnątrz? Wydaje się, że jest rzeczą najtrudniejszą dla pisarza, politycznie tendencyjnego, pokazać człowieka takim, jakim on jest rzeczywiście. Wydaje się, że najtrudniej jest umieć uniknąć zarówno abstrakcyjnego psychologizmu jak i propagandyzmu. Jest to równie trudne, jak trudną jest definicja realizmu w literaturze.

Ale nawet nie zgadzając się z deklaracją, w jaką zaopatrzył Vittorini swą powieść, trzeba mieć uznanie dla jego tendencji do zachowania prawdy o człowieku nawet w zgiełku walki. A prawdą o człowieku jest właśnie wzajemny stosunek między rzeczywistym „jestem" a społecznym „być pragnę". Sztuka i polityka zbiegają się właśnie tam, gdzie je Vittorini rozszczepia.

Ciekawe, że drugi to już pisarz włoskiej lewicy boryka się z tym samym problemem. O duszę człowieczą potknął się Silone. Nie mogąc pogodzić swojej prawdy o człowieku z politycznym rewolucjonizmem, zrezygnował z rewolucjonizmu. Vittorini schował tę nagą duszę do plecaka i poszedł z nią na barykady. Przypadek, czy naturalna skłonność duszy włoskiej? A może w jednym i drugim wypadku to borykanie się jest symptomem dotychczasowej słabości demokratycznych ruchów Italii. Czy problem duszy rewolucjonisty nie zarysowuje się najjaskrawiej wtedy, gdy jest ona samotna, gdy tkwi w słabym ciele, gdy nie czuje za sobą masowego ruchu, a stoi w obliczu wszechwładnej tyranii? I czy nie dlatego właśnie odżyły pod włoskim niebem wspomnienia petersburskich białych nocy sprzed pół wieku?

Ciekawa książka. Ciekawie napisana. Jest jak film, który się często przerywa lub zatrzymuje. Dialogi zamierają nagle, niedopowiedziane, i po chwili znów odżywają. Szybko tocząca się akcja nagle zatrzymuje się na jednym obrazie, który jest jak projekcja przeźrocza na ekran. Przedziwnie toczą się rozmowy. Słowo dialogów nie ulatuje samotnie ze stronic książki, ale podejmowane jest kolejno przez wszystkich rozmówców i podawane dalej, jak w rozmówkach Berlitza. Najprostsze zdanie, rzucone w rozmowie, jest jak temat muzyczny, który uporczywie powraca w różnych tonacjach.

Jeśli książkę tę udostępni się czytelnikowi polskiemu, wywoła ona niewątpliwie duże zainteresowanie i może stać się przedmiotem wielu dyskusji. Nie tak gorących i namiętnych, jak pod włoskim niebem, ale na pewno ciekawych.

Paweł Konrad

ROMAN BRATNY

ROZSTANIE

Skrzypek uliczny,
to po was, polegli przyjaciele, pomnik
ślepy — przed sobą maca smyczkiem
smutną wojenną melodię.

Gra „Warszawiankę" — łysuje
kontur Nike — bez głowy, bez ciała, ze skrzydłami u ramion.
W torebce obok niego dziewczyna wysmukła
unosi fotografię — profil zasłuchany.

Torebka tej dziewczyny to z fotografii hełm?
Nie, to czapka błazeńska.
On w niej kończy ziemski sen
z lusterkiem, szminką, puszkiem i chusteczką.

Kiedy wczoraj wyjęła jego fotografię, malutką,
pił łzy z jej oczu, z bufetu barw rozmaitych,
jej usta — obcisła, muskularna tuba
nad papierową twarzą — drżały paletyczne.

Dzisiaj miasto obojga miłości
podchodzi tak oddychalne,
że możesz zaczerpnąć powietrza na miejscu
gdzie stał olbrzymi pomnik.

Gra „Warszawiankę" pod cokołem zwalonego pomnika
— możesz zaczerpnąć powietrza:
wypada fotografia, gdy dziewczyna banknocika
szuka, wręcza.

Na śniegu leżysz papierową twarzą — zgubiony,
a jedyne okrycie twojej dawno rozstrzelanej głowy
unosi w roztargnieniu ona
powielana oczami żyjących przechodniów.

Snobizm i propaganda zagraniczna

Pisał kiedyś Irzykowski o plagiatowym charakterze naszych przełomów literackich. W istocie, trudno nie przyznać, że, jeśli nie wszystkie, to większość obiegowych u nas idej jest pochodzenia obcego. Co gorsza, import ten nie zawsze ulega gruntownemu przyswojeniu. Jesteśmy może zbyt inteligentni; może nie dość precyzyjni: wszystko chwytamy na półsłowie. Nie ma zdania tak bezsensownego, które by nie znalazło u nas pojętnych admiratorów. Zdarzało mi się niejednokrotnie w dyskusjach, że rozmówca mój, nie dosłyszawszy lub usłyszawszy na opak moje słowa, skwapliwie mi przytwierdzał: „Tak — zgadzał się na przykład — bardzo głębokie i trafne są pańskie uwagi o histerycznym podłożu dzieła sztuki. Bez histerii — nie ma artysty. Mógłbym przytoczyć szereg wypadków, które..." „Ale — protestowałem — pan się przesłyszał. Mówiłem o podłożu historycznym". „Tak, tak, oczywiście — zgadzał się bez wahania — to bardzo trafne i głębokie. Bez historii — nie ma artysty. Mógłbym przytoczyć szereg wypadków które..." itd., itd.

Ta nadinteligencja pewnej — cieniutkiej zresztą — warstewki naszego społeczeństwa, wynika z niepewności siebie, ze snobizmu, czyli — w ostatecznym rachunku — z braku kulturalnej autonomii. Znałem literatów polskich, którzy wyjeżdżali do Paryża jako wielbiciele jakiegoś pisarza francuskiego, aby — natychmiast po przyjeździe — zniechęcić się doń — tylko dlatego, że akcje jego spadły na tamtejszej giełdzie literackiej.

Stąd specyficzny ton naszej propagandy zagranicznej. „I myśmy — niby to — nie gorsi od was, i my mamy to samo, co wy, wszelakie proustyzmy, surrealizmy" itd. Na przyjęciu w Bureau des Informations Polonaises (BIP), w którym uczestniczyli pisarze i dziennikarze francuscy, jeden z naszych czołowych publicystów mówił o polskim egzystencjalizmie. Kiedym go zapytał, gdzie ów egzystencjalizm dojrzał, zacytował mi jeden przekład Iwaszkiewiczowej — jeśli się nie mylę — z Sartre'a i jeden mój, ściśle zresztą sprawozdawczy artykuł.

Importowanie do Francji naszych na wzór francuski zrobionych produktów kulturalnych byłoby noszeniem drzew do lasu. Francuzi bardziej są ciekawi, czym się od nich różnimy, niźli — w czym jesteśmy do nich podobni. Czy jednak mamy oryginalną produkcję literacką w Polsce? Czy możemy wierzyć w częściową przynajmniej autonomię kulturalną naszego kraju? Sądzę, że tak.

Jeśli we Francji istniała do niedawna specjalna klasa „poetów wyklętych", nie uwzględnianych przez oficjalną historię literatury, to u nas historia literatury, bardziej tolerancyjna, uwzględnia wszystkich; nie wszystkich jednak — publiczność. Nasza literatura nowatorska, eksperymentalna, będzie zawsze na uboczu głównego prądu; nie przeniknie ani do szerokich mas czytelniczych, ani do czytanek szkolnych. Jest to dobro kulturalne, które leży odłogiem i które można i należy zużytkować; ponieważ nie możemy tego uczynić w kraju, jedyne ujście, jakie nam pozostaje, to — zagranica.

Mam na myśli takie utwory jak „Pałuba" Irzykowskiego, dramaty Witkiewicza, wreszcie utwory — tylekroć przeze mnie cytowanych — Schulza i Gombrowicza. Dołączyłbym jeszcze listę poetów od Leśmiana do awangardy z Przybosiem na czele, gdyby nie ich nieprzetłumaczalność, lub — ściślej mówiąc — małe prawdopodobieństwo ich przetłumaczalności. Należałoby zatem stworzyć dwie hierarchie pisarskie: jedną przeznaczoną na eksport, drugą — na użytek wewnętrzny. Oczywiście, ta druga góruje wartością społeczną, znaczeniem dla kultury narodu; tamta jednak przez swój niebezpieczny posmak eksperymentu może właśnie zainteresować Zachód. Dowody na to miałem w zachwycie wydawców francuskich, którym pokazywałem próbki prozy schulzowskiej; jeden z nich, Fasquelle, przygotowuje obecnie wydanie jego książki w przekładzie p. Hachère.

Można by bez trudu wykazać, że polska literatura eksperymentalna wyprzedzała niejednokrotnie modne obecnie we Francji kierunki. Problem nacisku psychicznego człowieka na człowieka, formowania naszego wnętrza przez mniemanie o nas innych ludzi — postawiony przez Gombrowicza w „Ferdydurke" — czyż nie jest identyczny z zagadnieniem „spojrzenia" i „istnienia dla kogoś" (l'être — pour — autrui), typowym dla egzystencjonalistów? A postacie jego, których postępki są dla nich samych niespodziane, czyż nie przypominają bohaterów Sartre'a, wciąż zaskakujących siebie samych? Zbiór nowel „Le mur" tegoż autora, które tłumaczę obecnie, wygląda miejscami jak nieumyślna kopia „Pamiętników z okresu dojrzewania".

Możliwości wydawania książek polskich we Francji są obecnie — w związku ze zmniejszeniem tamtejszej produkcji literackiej — olbrzymie. Oczywiście brak jest tłumaczy; i owi improwizowani przekładowcy, którymi posługuje się (świetnie zresztą pracujący) BIP, zapewne nie nadążą zadaniu tłumaczenia dzieł o wysokiej klasie artystycznej. Na francuski mogą tłumaczyć jedynie Francuzi, znający język polski; tacy są, choć nieliczni; takich wreszcie można stworzyć udzielając — jak słusznie pisze Jan Kott — stypendiów studentom francuskim na pobyt w Polsce i zapraszając jak najczęściej pisarzy francuskich do Polski. Zajęcie w kulturze europejskiej stanowiska bardziej poczesnego niż to, jakie zajmujemy dotychczas, zależy tylko od nas.

Artur Sandauer

STANISŁAW NIENAŁTOWSKI

Pierwsza ekspropriacja w Warszawie

Gdy minął ruchliwy okres letni 1942 r., poświęcony przede wszystkim organizacji i kierowaniu oddziałów partyzanckich do boju w różne strony kraju, kierownicy i przywódcy Gwardii Ludowej stanęli przed nowym z kolei, palącym zagadnieniem: znalezienia odpowiednich środków pieniężnych dla organizacji walki zbrojnej z zaborcą.

Gwardia Ludowa zmuszona była pokrywać wydatki ze składek swych członków i dobrowolnych ofiar, w przeciwieństwie do innych organizacyj podziemnych, opierających swój byt na funduszach przysyłanych do kraju przez rząd emigracyjny. Nie na długo poprawiło finansową sytuację G. L. rozpisanie pewnego rodzaju pożyczki konspiracyjnej pod nazwą „Daru Narodowego". Gdy coraz liczniejsze oddziały partyzanckie udawały się do lasu, gdy trzeba było kupować broń, amunicję, ubranie, buty i sprzęt wojskowy, chwycono się nowego, a przecież bardzo już starego i mającego dawne tradycje sposobu finansowania walki zbrojnej z zaborcą: ekspropriacji.

Organ kierowniczy Gwardii Ludowej miał w swym składzie człowieka, który myśli o ekspropriacji nadał formę konkretną. Człowiekiem tym był Kazimierz Mijal, pracownik Komunalnej Kasy Oszczędności m. Warszawy, mieszczącej się w domu na rogu Czackiego i Traugutta. Kazimierz Mijal był w owym czasie kierownikiem wydziału kontroli i organizacji w swojej instytucji i dzięki tej funkcji dokładnie znał wszystkie pomieszczenia ze skarbcem włącznie, system alarmowy i łącznościowy, a nawet pewne przyzwyczajenia urzędników skarbca i kasjerów. Gdy sprawa ekspropriacji została przesądzona, Mijal wystąpił z trzema następującymi planami:

1) Odebranie sumy od 1/5 do 1 miliona zł koło wejścia do banku od strony ulicy Czackiego, tuż przed drzwiami obrotowymi w hallu. Pieniądze miały być przewożone z Banku Emisyjnego na ul. Bielańskiej. Akcja połączona więc była z dużym ryzykiem, ponieważ napad odbywałby się bezpośrednio przy ulicy koło drzwi, którymi bardzo często wchodzili interesanci, przy czym należało się liczyć z tym, że trzeba będzie stoczyć walkę z ochroną transportu.

2) Zdobycie kwoty 200 tys. zł przez steroryzowanie kasjera, przenoszącego codziennie pieniądze ze skarbca do kasy podręcznej.

3) Zabranie większej sumy (przeszło milion zł) ze skarbca, w którym około pierwszego każdego miesiąca było zawsze sporo pieniędzy, ponieważ uruchomiano większe zapasy do wypłat.

Zapoznawszy się z planami Mijala, dowództwo główne G. L., w osobie „Franka" (gen. Witold), wyraziło zgodę na trzeci projekt. Do spraw, związanych z wykonaniem projektu, wyznaczono ówczesnego dowódcę warszawskich oddziałów G. L. „Wiktora" (Jan Strzeszewski).

W czasie kilku spotkań w mieszkaniu Kazimierza Mijala przy ul. Kopernika 15, m. 14, Jan Strzeszewski uzgodnił z zebranymi szczegółowy plan akcji. Na podstawie planu skarbca i otaczających go sal wyznaczono miejsca poszczególnym grupom bojowców i ustalono ich zakres działania. Strzeszewski podzielił swój oddział na cztery grupy. Pierwsza, pod jego dowództwem, miała za zadanie opanować skarbiec i skonfiskować pieniądze. Trzy pozostałe grupy miały czuwać nad bezpieczeństwem pierwszej, to jest odosobnić i unieruchomić publiczność i urzędników oraz zabezpieczyć drogę odwrotu. Grupami tymi mieli dowodzić „Zygmunt" (Bolesław Kowalski), prawdopodobnie „Jacek" (Franciszek Bartoszek) oraz „Wojtek" (Janusz Zarzycki). W akcji uczestniczyło 19 osób.

Najważniejszym momentem akcji było opanowanie skarbca. Klucze od wejścia do przedpokoju skarbca miał zawsze przy sobie, niezależnie od skarbnika, kasjer Ustaszewski. Skarbiec można było opanować po odebraniu kluczy od kasjera Ustaszewskiego. Jednakże, aby zyskać na czasie, postanowiono wykorzystać zwyczaj pracowników skarbca, który polegał na tym, że odwołani do telefonu (telefonu zewnętrznego w skarbcu nie było) nie zamykali za sobą drzwi i kraty, oddzielającej skarbiec od innych pomieszczeń. Na początku akcji postanowiono odwołać do telefonu kasjerów, Pawlaka i Dowkindównę, aby grupa operacyjna pod dowództwem Strzeszewskiego mogła w tym czasie opanować

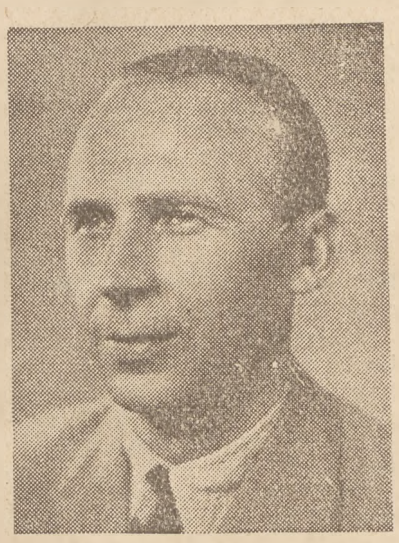

„Artur" — Kazimierz Mijal

szybko wejście do skarbca. Zadanie odwołania kasjerów skarbca do telefonu powierzono pracownikom sztabu G. L., „Barbarze" (Sowińska Stanisława) i „Lenie" (Wolińska Helena). Termin rozmowy telefonicznej i czas rozpoczęcia akcji ustalono co do minuty. Jednocześnie postanowiono ograniczyć akcję jedynie do biur wydziału bankowego.

Na dzień przed akcją Strzeszewski i Kowalski odwiedzili jako interesanci pomieszczenia parterowe banku, przy czym Kazimierz Mijal wskazał kasjera Ustaszewskiego, który miał klucze od wejścia do skarbca, oraz miejsce jego urzędowania. W czasie tych oględzin Strzeszewski obejrzał dokładnie tę część banku, która miała być objęta akcją, tj. skarbiec i przyległe pokoje wraz z pomieszczeniami biurowymi pracowników wydziału bankowego. Oględziny były nieodzowne, aby dokładnie ułożyć plan akcji i rozdzielić pracę między poszczególne grupy. Następnie odwiedzili lokal dowódcy poszczególnych grup, co z kolei pozwoliło im wyznaczyć zadania poszczególnym bojowcom.

Plan akcji opracowano w najdrobniejszych szczegółach tak, że każdy z jej uczestników znał nawet ławki na sali, na których miał siedzieć przed rozpoczęciem działania. Przed akcją wszystkie grupy udały się na odprawę, która odbyła się w obecności Strzeszewskiego, gdzie uzgodniono ostatecznie plan działania.

29 XI 42 r., w godzinach wieczornych, w kilku lokalach organizacyjnych nastąpiła zbiórka poszczególnych grup bojowców. Grupa, którą dowodził Janusz Zarzycki, spędziła noc na Targówku, w mieszkaniu krewnych uczestnika akcji „Zawiszy" (Olszewskiego Tadeusza). Lokale noclegowe innych grup nie są dotąd znane, ponieważ dzisiaj z 19 uczestników zamachu żyje zaledwie trzech. Janusz Zarzycki nie nocował ze swą grupą, ponieważ w drodze na Targówek zatrzymała go policja granatowa. Mimo to rankiem połączył się ze swoimi ludźmi na placu Dąbrowskiego, wykupiwszy się z rąk granatowych 50-cio złotowym datkiem.

Następnego dnia rano, tj. 30 XI. 42 r., grupy stawiły się na placu Dąbrowskiego, skąd ruszono do K. K. O. na ul. Czackiego. O 8.10 wszyscy uczestnicy akcji znaleźli się na sali wydziału bankowego, na miejscach przewidzianych rozkazem Strzeszewskiego, udając interesantów.

Był poniedziałek. Pracownicy banku zabierali się do pracy. Parę minut po 8-ej dyrektor Zacharzewski otworzył skarbiec. O 8.15 kasjer ze skarbca, Pawlak, wezwany został do telefonu przez jedną z pracownic sztabu G. L. Pomysłowa dziewczyna zatrzymała go tak długo przy telefonie, że zdenerwowało to w końcu naczelnika Rybackiego, który zrobił Pawlakowi cierpką uwagę. Gdy Pawlak kończył rozmowę na wydziale bankowym, na wydziale pożyczek terminowych, znajdującym się w pobliżu skarbca, zadzwonił również telefon, a w słuchawce jakiś głos kobiecy poprosił do telefonu drugiego pracownika skarbca, Dowkindównę. Na dwie minuty przedtem Kazimierz Mijal pośpieszył na salę wydziału pożyczek terminowych i, witając się z naczelnikiem, dość głośno zapytał: „Panie Stanisławie, czy dyrektor Siedlecki już przyszedł". Był to umówiony poprzednio znak rozpoczęcia akcji.

Strzeszewski wydobył rewolwer i słowami: „rewizja banku, wstać" poderwał grupy do działania. W jednej chwili opanowano wydziały: bankowy, dewizowy i pożyczek terminowych. W sali i biurach wydziału bankowego postawiono pod ścianę, bądź powalono na podłogę, około 70 urzędników i interesantów. Na terenie innych objętych akcją wydziałów unieruchomiono jeszcze około 30 osób. Nadzór nad publicznością objęła grupa Kowalskiego. Czwórka pod dowództwem „Wojtka" wzięła na siebie zadanie „unieruchomienia" napływających do banku klientów. Jeden z czwórki, Tadeusz Olszewski, zajął się kasjerką urzędującą przy okienku, które wychodziło na hall główny. Ażeby nie robić popłochu, polecono kasjerce pracować normalnie, zakazując jej tylko alarmować bank za pomocą sygnału elektrycznego, umieszczonego koło biurka. Janusz Zarzycki, stanąwszy pod zegarem tuż koło drzwi hallu do głównej sali wydziału bankowego, kierował nowoprzybyłych do „Kacpra" (Sieczkowskiego Feliksa), który stawiał ich twarzą do ściany w pokoju wydziału pożyczek terminowych.

Strzeszewski wraz z „Jasnym" (Włodzimierz Zawadzki), „Kamieniem" (Stein) i „Sylwestrem" (Stanisław Skrypij) pośpieszył w stronę skarbca. Właśnie w tej chwili wy-

„Wiktor" — Jan Strzeszewski

chodziła stamtąd kasjerka Dowkindówna. Ponieważ nie usłuchała wezwania Strzeszewskiego, by pozostawić drzwi otwarte, zmuszony był, opanowując wzburzenie (przez chwilę zastanawiał się, czy do niej nie strzelić), zwrócić się po klucze do kasjera Ustaszewskiego. Ustaszewski bez oporu uczynił zadość jego żądaniu i zajął wskazane mu miejsce pod ścianą. Drzwi do przedpokoju skarbca zostały otwarte, a kraty z przedpokoju do kasy skarbca Dowkindówna (jak zresztą przypuszczano) nie zamknęła.

Drugą kratę do właściwego skarbca (podręcznego) otworzył na wezwanie Strzeszewskiego skarbnik, znajdujący się w pokoju liczników przy skarbcu. Przed rozpoczęciem akcji, w bramie przy ul. Traugutta 5 (tędy wiodło drugie wejście do banku) stanęło dwóch żołnierzy G. L. jako zabezpieczenie i straż. Nie mieli oni podejmować kroków zaczepnych, jednakże wścibski dozorca zapytał natychmiast, po co tu stoją. W odpowiedzi na to bojowcy obezwładnili dozorcę i wepchnęli go do piwnicy, przykazując surowo, aby nie wychodził i zachowywał się cicho. Przerażony dozorca wypełnił rozkaz, przeświadczony, że rzekomi gestapowcy prowadzą go po to do piwnicy, aby go skrycie rozstrzelać. Uwolniwszy się od dozorcy, gwardziści stanęli znowu w bramie i, prowadząc ożywioną rozmowę, uśmiechali się przyjaźnie do wchodzących

„Wojtek" — Janusz Zarzycki

urzędników. Naczelnikowi wydziału personalnego Klimaszewskiemu powiedzieli nawet z uśmiechem „moje uszanowanie", dzięki czemu wziął ich za klientów.

Po rozpoczęciu akcji straż od ul. Traugutta zabezpieczyła wejście do banku przed uruchomieniem elektrycznego sygnału alarmowego zamykającego drzwi, a następnie wpuszczała wszystkich grzecznie, nie pozwalając wracać do wyjścia. Pytającym, co to znaczy, wyjaśniała, że w banku przeprowadza się rewizję i że za chwilę wszyscy będą wezwani na przesłuchanie. Wchodzący urzędnicy byli przekonani, że rewizję przeprowadza gestapo, chowali więc obce waluty lub pozbywali się konspiracyjnych gazetek. Wejście od Traugutta miało służyć jako droga odwrotu.

Gdy rozpoczęła się akcja, kasjer Pawlak siedział spokojnie w skarbcu robiąc papierosy, jednocześnie rzucał okiem na rozłożoną pod ladą gazetkę konspiracyjną. Gdy Stanisław Skrypij podsunął mu pod nos rewolwer, wzywając, aby cofnął się w tył i podniósł ręce do góry, omal że nie zemdlał na myśl o gazetce i gestapo. Leżąc już, usłyszał głos Strzeszewskiego: „śpieszcie się chłopcy, a wy pracownicy nie denerwujcie się, nic wam nie będzie. Przecież nie gestapo a organizacji podziemnej potrzebne są pieniądze na broń do walki z okupantem". — Dopiero te słowa uspokoiły nieco Pawlaka.

Do znalezionych w skarbcu teczek włożono zabrane pieniądze. Banknoty z trudnością mieściły się w skórzanych teczkach. Okoliczność ta spowodowała pewną stratę czasu, który poświęcono na udeptanie pieniędzy nogami, aby szczelnie wypchać teczki.

W głównej sali wydziału bankowego urzędnicy i interesanci stali bez ruchu w rogach sal, natomiast pracownicy skarbca i wydziału pożyczek terminowych leżeli na podłodze, gdyż okna tych pomieszczeń wychodziły na ulicę. Leżących pilnowali dowódcy poszczególnych grup. W pokoju naczelnika Rybackiego i na sali wydziału bankowego było trochę swobodniej. Gwardziści sprawujący dozór nad urzędnikami ustawionymi pod ścianą pozwolili im nawet wypalić papierosa. Gdy Kazimierz Mijal, również postawiony pod ścianę, zwrócił się do Rybackiego z zapytaniem: „co to jest", dowódca grupy Kowalski szturchnął go w bok rewolwerem i powiedział: „cicho" — dając wszystkim do zrozumienia, że rozmawiać nie wolno. Scenka ta miała ochronić Mijala przed podejrzeniami kolegów.

W końcu dostała się pod ścianę również i dyrekcja banku. Najpierw „wpadł" kierownik administracyjny. Przypadkowo naciśnięta przez kogoś instalacja alarmowa zaczęła działać; dał się słyszeć cichy, wewnętrzny sygnał. Jednocześnie stanęły drzwi obrotowe od głównego wejścia przy ul. Czackiego. Włączenie alarmowego sygnału zamknęło również drzwi od ul. Traugutta, jeden z gwardzistów już uprzednio się zabezpieczyli przed podobną ewentualnością. Włączenie sygnału alarmowego zdarzyło się kilkakrotnie dawniej i za każdym razem alarm był fałszywy. Kierownik administracyjny sądząc, że i obecnie instalację alarmową wprawiono w ruch przypadkowo, wyłączył ją. W drodze powrotnej do pokoju ktoś zwrócił mu uwagę, że na wydziale bankowym coś się dzieje. Kierownik poszedł sprawdzić i dostał się pod ścianę.

Dyrektorzy, urzędujący na górze, również przez pewien czas nie wiedzieli o niczym. Gdy urzędnicy z sal nie objętych akcją dali znać, że na dole jest rewizja lub napad, zlekceważono to. Przed kilku miesiącami naczelnikowi wydziału personalnego, Klimaszewskiemu, zginął materiał na ubranie. Kierownik wziął w obroty jednego z woźnych i okazało się, że podejrzenie było słuszne. Woźnego ukarano. W przeddzień akcji popełniono w banku drugą kradzież: w sali konferencyjnej zginęło ze stołu 7 metrów zielonego materiału. Gdy gwardziści na parterze rozpoczynali akcję, dyrektor Zacharzewski, znajdujący się na pierwszym piętrze, przeprowadzał właśnie śledztwo w sprawie kradzieży sukna. Z urzędowo zmarszczonym czołem uchylił drzwi do pokoju kierownika Klimaszewskiego i, skinąwszy nań, poprosił go do gabinetu sekretarza Czajkowskiego, gdzie był także dyr. Siedlecki. Zacharzewski zapytał Klimaszewskiego surowo, kto ukradł sukno. Klimaszewski zdziwiony odpowiedział: „Dlaczego ja mam o tym wiedzieć?" Zdenerwowany dyrektor krzyknął na cały głos: „Panie, jak panu ukradziono materiał, to pan wiedział kto. Musimy skończyć z tymi kradzieżami, bo niedługo będą nam palta z szatni ginąć. Trzeba zawiadomić policję, przesłuchać ludzi i wykryć sprawcę czynu". Po ostrym i cierpkim napomnieniu Klimaszewski odszedł do swego gabinetu kończyć listę płacy na pierwszego.

Po paru minutach dwóch urzędników powiadomiło Klimaszewskiego, że w dolnych salach banku grasują bandyci. Klimaszewski odpowiedział: „Panowie uspokójcie się, to dyrektor Zacharzewski wezwał policję, która przeprowadza rewizję w sprawie kradzieży sukna". Urzędnicy nieco zdziwieni odeszli, a Klimaszewski pomyślał z uznaniem o swym dyrektorze, który tak szybko sprowadził przedstawicieli władzy.

Wieść o niepokojach na dole doszła również do dyrektorów. Wszyscy trzej ruszyli na dół, zagarniając po drodze Klimaszewskiego. Najostrożniejszy z nich, Czajkowski, puścił przodem swych kolegów, Siedleckiego i Zacharzewskiego, którzy weszli do jednej z sal objętych akcją i zostali natychmiast postawieni pod ścianę. Natomiast Czajkowski nie zszedł na dół. Udał się na oszkloną antresolę po przeciwnej stronie sali wydziału bankowego. — Ujrzawszy dwóch, jak się potem wyraził, cywilów z rewolwerami i sądząc, że są to gestapowcy, udał się do swego pokoju, informując urzędników, że Niemcy przeprowadzają rewizję. Klimaszewskiemu wydało się natomiast, że urzędnicy stojący pod ścianą grzeją się przy kaloryferach.

Wiadomość o napadzie dotarła również na ulicę Czackiego. Stało się to dzięki kilku urzędnikom i urzędniczkom, którzy z przestrachu i nadmiernej gorliwości szukali „obrony" u granatowych i Niemców. Na ulicy zatrzymano dwóch granatowych policjantów, którzy na wiadomość o napadzie odeszli szybko ze słowami: „Jeszcze mamy czas zginąć". Gorliwszym się okazał policjant niemiecki. Wpadł on do gmachu i z rewolwerem w ręku posu-

wał się w stronę sal objętych akcją. Za każdym krokiem lęk jego wzrastał. Już przed drzwiami wydziału bankowego zatrzymał się, dowiedziawszy się od pewnej Niemki z sali operacyjnej o wielkiej liczbie zamachowców. Po chwilowym wahaniu policjant niemiecki wycofał się z gmachu do wyjścia od ulicy Czackiego i tu, z zatrzymanym przez siebie granatowym policjantem i kilkoma urzędnikami, zaczaił się za filarami, czekając aż gwardziści opuszczą bank. Akcja dobiegała już końca. W tym czasie inny urzędnik popędził do niemieckiego urzędu policyjnego na Uniwersytecie. Tam jednakże, na wiadomość, że zamachowców jest znaczna liczba, oświadczono, iż urząd nie rozporządza w tej chwili odpowiednimi siłami i nie może przeciwdziałać napadowi. Urzędnik wrócił więc do banku z niczym, jeszcze przed zakończeniem akcji.

Mimo tych wydarzeń przebieg akcji był szybki i spokojny, tak że pracownicy niektórych oddziałów nie wiedzieli nawet o tym, co się dzieje. Akcja trwała już 15 minut. Wreszcie zapakowano banknoty i Strzeszewski wyszedł wraz z towarzyszami ze skarbca na salę główną wydziału bankowego, dając znak do wycofania się. Nastąpiło ono szybko i sprawnie, czwórkami przez wejście od ul. Traugutta. Ostatni z bojowców zamknął drzwi i założył łańcuszek i kłódkę, ażeby uniemożliwić ewentualny pościg. Policjanci, niemiecki i granatowy, z rewolwerami w ręku czekali cierpliwie od ul. Czackiego jeszcze dość długo. Tymczasem bojowcy przez dom przechodni przy ul. Mazowieckiej 11 przeszli na Jasną, Świętokrzyską i Marszałkowską, skąd każdy osobno pojechał do domu.

Akcja trwała nie dłużej jak 15 minut i zakończyła się pełnym powodzeniem: wzięto 1 052 433 zł, nikogo nie uderzono, nie padł ani jeden strzał. Po wyjściu gwardzistów w banku zawrzało jak w ulu. Naciskano dzwonki alarmowe, dzwoniono na policję. W 10 minut później zjawiło się około 30 granatowych policjantów, a nieco później kilku niemieckich. Przeprowadzono dochodzenia. Kazimierz Mijal, jako naczelnik kontroli i organizacji, sprawdził stan kasy oraz złożył zeznanie organom śledczym. Opowiadając o przebiegu napadu zwrócił policji uwagę, że zamachowcy robili wrażenie inteligentów, byli dobrze ubrani i mieli wysokie, oficerskie buty. Mówiąc o tym, Mijal chciał zasugerować Niemcom, że zamachowcy należeli do podziemnej organizacji wojskowej, aby policja nie kwapiła się z szybkim śledztwem. Na zakończenie policjanci troskliwie wypytywali Mijala, czy uderzenie rewolwerem, zaobserwowane przez urzędników w czasie zamachu, nie było zbyt dotkliwe.

Ekspropriacja z 30. XI. 42 r. była jednym z pierwszych wystąpień żołnierzy Polski podziemnej w Warszawie. Szerokie koła działaczy konspiracyjnych przyjęły fakt ekspropriacji z nie mniejszym zdziwieniem. Zanim prasa Gwardii Ludowej podała, kto był wykonawcą zamachu, członkowie innych organizacyj podziemnych skłonni byli przypisywać ten sukces swoim oddziałom. Ponieważ zaś był to okres pierwszej kontrybucji, pobranej od mieszkańców stolicy przez Niemców w wysokości właśnie jednego miliona złotych, a wpłaconej do K. K. O., warszawianie uważali, że ekspropriacja z dn. 30. XI. 42 r. odebrała Niemcom zagrabione bezprawnie pieniądze.

Kazimierz Mijal pracował w banku jeszcze kilka tygodni. Referował sprawę napadu i odszkodowań na posiedzeniu dyrektorów instytucji ubezpieczeniowej (K. K. O. była ubezpieczona od napadu na 1 milion zł). Straty pokryło towarzystwo włosko-niemieckie, tak, że K. K. O. nie była poszkodowana. Jemu również powierzono opracowanie planu zabezpieczenia centrali i oddziałów przed ewentualnym nowym napadem, co oczywiście uczynił. Po ogłoszeniu w prasie Gwardii Ludowej komunikatu o ekspropriacji (nastąpiło ono na przełomie 1942 i 43 r.) Mijal porzucił pracę w banku i przeniósł się na nowy teren walki podziemnej — na południe Polski.

Stanisław Nienałtowski

FRANCISZEK GIL

ZADUSZKI NA OKSYWIU

Oto morze.

Wysoki oksywski klif spada gdzieś głęboko pod stopami w ogromny, szumiący obszar wód. Brzegiem urywu, terasami rybackich grobów i białymi, na morskim wichrze wyrosłymi brzozami schodzi w dół ku Gdyni cmentarz.

Oto wyspy południowe i fiordy północy, oto wiekuisty niepokój wielkich ludów i samotnych żeglarzy.

Blisko widać biel brzóz z Kamiennej Góry. Jakby śmignąć tylko za mewami, przez baseny zewnętrznego portu, i znów wysoki brzeg z kościołem u szczytu. Ale z Placu Kaszubskiego trzeba jechać na Oksywie prawie pół godziny. Dalekim łukiem i objazdami wokół rozbitych wiaduktów okrąża auto wkopany głęboko w ląd port wewnętrzny. Często rozkopana tu ziemia jest ciemna jak podolski czarnoziem. Przed wiekami odeszło stąd morze i teraz inżynier budujący Gdynię przywołał je w torfiastą pradolinę.

Cmentarz rozpala się powoli i kładzionymi przez wiatr płomykami pochyla ku lądowi. Zatoka w dole leży bez ruchu, jak gdyby wielkie, ładujące węgiel okręty szanowały obyczaj przybrzeżnych rybaków i nie wyruszały dziś w drogę. Pusto na redzie i pusto było dziś w porcie. Wezbrana wschodnia fala szła raz po raz z bryzgiem pod Szwedzki bulwar, przez wyrwy w falochronach wysoko kołysała samotne jachty w żeglarskim basenie. Gdynia wybierała się na Oksywie.

Cóż to był za pociąg? Ludzie zamiast walizek wieźli wieńce, zielone wieńce, z którymi tłoczyli się na wszystkich peronach poznańskiego dworca. Wielu z nich nie dostało się do tego nocnego pociągu, wiozącego wieńce na wybrzeże. Większość wysiadała w Gnieźnie, Inowrocławiu, schodziła z rozwianymi szarfami w mrok zagubionych stacyjek. Reszta zdjęła swe wieńce z półek o świcie w Gdyni.

A Gdynia od południa jechała na Oksywie.

Jeszcze dwadzieścia lat temu cmentarz oksywskich rybaków był jej cmentarzem. Na Oksywiu Gdynia chrzciła swoje dzieci i na oksywskim wzgórzu kładła na wieczny sen swych ojców. Ale w jedną z najkrótszych gdyńskich nocy, w lipcu 1933 roku, zgaszono na zawsze oksywską latarnię morską. Światła Gdyni sięgały już dalej niż blask naftowo-żarowych lamp Oksywia, większe i osobne już miała Gdynia cmentarze.

Dziś jednak jechała na Oksywie. Z ciężkich robotniczych bloków i lekkich nadmorskich will szła dziś na Oksywie Gdynia — ta, co kiedyś była tu tylko wioską u wylotu pradoliny i ta, co od dwudziestu po kolei lat schodziła z Oksywia w tamte rosnące baseny do coraz większych statków i przemieniała się na nabrzeżach w wielkomorskie miasto, i ta, co w dniach wbijania pierwszych palowych falochronów zjechała tu z całego kraju i na Oksywiu brała pierwsze śluby i chrzciła pierwsze dzieci.

Nigdy nie spotkałem cmentarza nad wielką rzeką. Szerokie, nieustające rzeki mają w sobie coś równie wiecznego jak morze. Kto był na oksywskim cmentarzu, wie, jak uparcie trzyma się tam człowiek brzegu urwiska, tego wąskiego pasma ziemi, między zatoką i grobami, jak z oczyma utkwionymi w zmarszczony przestwór wodny godzinami chodzi tam i z powrotem, uwięziony przez dwa wieczne doznania: śmierci i morza.

Cóż to za piękny zwyczaj kazał domy żywych budować za wzgórzem, a zmarłych grzebać wysoko nad urwiskiem z wiecznym widokiem na morze i z wieczną muzyką wiatru od morza! Nigdy nie widziałem cmentarza w górze nad morzem, i raz tylko, kiedyś, dane mi było spotkać zwiastuna ogromu tego wzruszenia: rycinę samotnego grobu Chateaubrianda, oblanego na bretońskiej skale przez fale atlantyckiego przypływu.

Od wczesnego popołudnia schodzili ludzie w dół między brzozy, skręcali w przygrobne ścieżyny ku bliskim im krzyżom i pomnikom. Droga wzdłuż urwiska, między szarym morzem, szarym przestworem niebieskim i grobami była moją jedyną drogą. Byłem na tym cmentarzu bezdomny: nie miałem swoich grobów. Zawsze w ten dzień gnało mnie coś brzegiem zapalonych cmentarzy. Trzeba było być na dalekim, szumiącym liśćmi cmentarzu wiejskim, gdzie leżeli matka, ojciec, gdzie leżała cała wieś, albo uciekać z miast i ulic, w których się żyło.

Była chwila, że mogłem się przyłączyć do dziewcząt niosących wieniec na grób żołnierzy, którzy bronili tego wzgórza, ale ktoś z grupy stanął naprzeciw z aparatem fotograficznym i ze smutkiem ujrzałem, jak bardzo rytuał czci zmarłych służy pielęgnacji własnych uczuć — żyjących.

Prawie razem z dziewczętami i kursistami podeszli do płyt i kopczyków marynarze. Ich granatowe, w żaden ordynek nie ujęte grupki były tak rozrzucone w to zaduszne popołudnie, jak rozrzucone są na tym cmentarzu marynarskie groby. Stawali jakoś bezradnie, jak chłopcy nie znający lądowych mogił, bez komendy zaciągali prostą, koleżeńską wartę. Chwilę patrzyli na groby, potem szybko dobywali z kieszeni lampki, zwykłe świeczki i pudełeczka z abażurkami. Chłopięcym ruchem stawiali je pod krzyżami i zapalali w milczeniu. O! przy tych mogłem stanąć bez obawy; nie będą się litować nade mną, że nie mam własnego grobu. Byli bowiem niezgrabni, jakby modlić umieli się tylko między wodą i niebem, jakby ołtarzem mogła być dla nich tylko burta okrętu, owa ostatnia ziemia żegnanych towarzyszy.

Historia często zapisuje się śmiercią, ale jeszcze dziwniej na tym cmentarzu śmierć zapisywała historię.

Długo broniło się Oksywie. Dziewiętnastego września myśmy w lasach hrubieszowskich wątpili w sens naszej walki. Gdy w kraju rozbite kompanie dawno rozchodziły się do domów, gdy wódz naczelny i dygnitarze, co tak często w Święta Morza przebierali się w marynarskie mundury, byli już za granicą, oni bili się jeszcze o ten klif i to morze było jeszcze niepodległe.

A potem przyszli Niemcy i sześćset lat leżącym tu zmarłym kazali podpisać się po niemiecku: „Hier ruht in Gott...“ W dole, na wodzie, zbudowali torpedownię, a w górze burzyli pomniki. Wysadzili mauzoleum Orlicz-Dreszera, starli sąsiedni cmentarz wojskowy. Trzeba było zasmarować tablice cementem, zamalować farbą, żeby mściwa ręka nie wiedziała, kto leży pod kamieniem, trzeba było pochowanych ukryć przed okiem zwycięzcy, co nienawidził nawet zmarłych — odebrać im imiona i nazwiska; zapuszczono umyślnie dawne i świeże groby marynarzy i obrońców kępy. Zamazano kotwice. Umilkła ziemia gromadząca prochy. W sześć lat od obalenia pierwszych pomników — na zabazgranych, milczących grobach starego cmentarza bronili się Niemcy. Ich statki z uchodźcami tonęły już u Helu i drewniane krzyże pod ścianą kościółka znaczą ostatnie lądowe stanowiska „panzergrenadierów“ na naszym wybrzeżu. Na cmentarzu przechowującym groby wojen szwedzkich artyleria zapisywała ostatnie dni jeszcze jednej — wojny. Armaty z Kamiennej Góry podziurawiły południową ścianę kościółka, powaliły dach i marmurowe pomniki u szczytu cmentarza.

O zmierzchu, z największą falą świateł największa fala ludzka spływała na cmentarz, jakby ludzie chcieli zobaczyć owo spotkanie światła z ciemnościami. Lampki pełgające dotychczas nieśmiało, wybuchają teraz w igliwiu wieńców. Płomyki rosną, podchodzą wysoko pod krzyże i rozchwiane wiatrem kołyszą kotwice marynarskich grobów.

Czarni chłopcy w beretach opuszczają już szpaler szumiących brzóz. Wiatr dmie od morza, a one właśnie pochylają się ku zatoce, jakby ustawicznie gotowe do zmagań z wichrem. Przed wielu starymi, samotnymi grobami z wyblakłymi fotografiami przystają w milczeniu, z żonami i dziećmi, porucznicy i kapitanowie. W nagim, pustym kościółku także ustawił ktoś lampki. Wiatr gwiżdże przez gotyckie okienka, syci światła pustej, nie nakrytej hali. Z mrokiem kościół przemienia się w wielką, zaduszną latarnię, w świecący dachem i oknami nadmorski grobowiec. U szczytu cmentarza wicher dmie najmocniej, najgłośniej, podaje gałęziom brzóz pomruk wzniesionej fali.

O, morze także dziś szumi nad swoimi grobami!

Przestwór zaokrągla się coraz pełniej. Gdynia zaczyna podawać okrętom na przemian zielone i czerwone światła.

W górze, u starych grobów, mniej świateł i ludzi, więcej morza. Rozkołysane, nieustające szumi w ciemnościach urwiska. W zatoce zostały tylko płasko na prawo rozsiane światła: zda się, że szumiące morze zagarnęło na noc mola i nadbrzeża portu, że przestwór niebieski zlał się z wodą i jako jeden wodno-powietrzny obszar podwinął pod samo urwisko, że na wysuniętym w wodę i powietrze cyplu zawiśliśmy nad światłami Gdyni.

Nie widzę już ani grobów, ani pojedynczych światełek. Czuję tylko coraz bardziej ziemię i morze.

Człowiek, który szturknął mnie w łokieć i po kilkakroć kazał patrzeć na jeden z grobów, był pijany i niepostrzeżenie od dłuższej już chwili musiał stać za mną. Dmący tu ze wszystkich stron wiatr łamał plecy. Coraz częściej myślałem o jakimś miejscu, gdzie można by na chwilę zejść z cmentarza i zagrzać się. Parę pozostawionych przez kogoś w sąsiedztwie płomyków jako tako oświetlało nasze twarze.

— Patrz pan, idź pan, popatrz — wskazywał wciąż załzawionymi oczyma — przed dobrym Polakiem nigdy nie zgaśnie świeczka.

Wiatr zerwał się mocniejszy i niegolony, niski człowiek w roboczym, zasmarowanym ubraniu znów kilka razy wyrzucił w przód brodę. W głosie jego było pół rozkazu, pół żądadania; terroryzował mnie zziębniętego jakąś własną, obcą mi sprawą — między nim a tym grobem o jednym światełku. Poczułem się nagle w kręgu zastanego tu, ale obojętnego mi szacunku dla jakiegoś zmarłego i nie umiałem oddzielić się od tej sprawy, jak nie umiałem oddzielić się tego popołudnia od morza. Udając smutek, bełknąłem z początku cicho, potem głośniej: „to pański bliski...“

Nie odpowiedział ani słowem i poczułem się jeszcze bardziej skrępowany tym milczeniem. Człowiek stojący przy mnie miał w oczach łzy, choć na tym wzgórzu mógł płakać także tylko od wiatru. Popchnięty jedyną odpowiedzią — następnym wskazującym gestem — podszedłem do wielkiego, nieforemnego głazu. Uniosłem wieniec. Jedna płaska ściana była jasna, jakby dopiero co wytarta szklistym papierem. Świeża była farba odczyszczonych liter. „Antoni Abraham gorliwy obrońca wiary św. i polskości na Kaszubach...“ Dwie kobiety w chustkach, widząc, jak uniosłem wieniec, dodały cicho: „To był wielki patriota“. Człowiek w kurtce kiwnął znów na mnie i w knajpie u Chojki wyciągnął z kieszeni garść nie zapalonych tego wieczoru na grobie rodzinnym świec. Oficerowie i bosmani czekali za stołami na auta do Gdyni, stawiali wódkę żonom i kolegom. Dzieci z hałasem biegły co chwila do drzwi popatrzeć, czy nie jedzie autobus. Chojka z dziada pradziada prowadził na Oksywiu lokal i Gdynia obchodziła Zaduszki na cmentarzu i u Chojki. Niemało aut i niemało pacierzy przesiedziano tego wieczoru przy stolikach jego lokalu.

Człowiek, który przyprowadził mnie tu z cmentarza „na jednego“, kiwał się nad herbatą i przebierał w rękach niezapalone, martwe świece. Zwracał się do mnie dalej, najczęściej tylko tym jednym zdaniem cmentarnym: „Najlepszy Polak... to był najlepszy Polak“, ze śpiewnym akcentem na „naj“. Męczył mnie nadal nieustanną kołowacizną pijacką i próbowałem wydobyć z niego coś o dawnej Gdyni, o dawnym Oksywiu. Wytrząsnął na stół jakieś papiery i dokumenty. Obruszył się na pytanie, jak mógł „być blisko“ z Abrahamem, skoro miał dwanaście lat, gdy tamten umarł. — „Wszystko wiem. Wszystko panu powiem... pisz pan, poprosił: port rybacki — Rybna 7, Budzisz. Ja byłem z nim razem jako dziecko... on do każdego domu przychodził z gazetką...“ Głośno i długo zaśpiewał teraz „każdego“.

Chojka podał znowu herbatę. Budzisz przytrzymał go — zabieganego w ten wieczór — za rękaw. „Nikt, Stefan, nie przyniósł świecy na grób Abrahama, nikt... ja sam jeden... — i jeszcze raz wygarnął pognieciona lampki. — O, widzisz, mój ojciec...“

— „Widzisz, tak to jest, jak ktoś nie ma krewnych ani nikogo“ — tłumaczył Chojka cicho nad tacą i kłaniał się, żeby odejść dalej. — „Wszystko panu powiem... tak, to jest stary kaszubski dom... Bierowski albo Majewski... poprosić Budzisz... kiedy pan przyjdzie“ — mruczał nie pamiętając już o Chojce.

Koniecznie chciał wyjść ze mną jeszcze na cmentarz, pokazać inne groby, to znów jechać razem do Gdyni, ale ja zaplątałem się w rzeczy dla nikogo niezrozumiałe; począłem mu tłumaczyć, że muszę jeszcze tego wieczoru trochę być sam. Im pełniej zaczynało wstępować we mnie ciepło, tym mocniej broniłem się przed nim. Nabierałem pewności. Uparcie trzymałem się znanego sposobu podkreślenia chęci samotności: powracałem ciągle do terminu następnego spotkania. Proponowałem poniedziałek, ale odrzekł, że w poniedziałek może mieć statek. Wołał sobotę. Zgadzałem się na wszystko, co tylko powiedział, chciałem, żeby do tej setki razy ustalonej soboty nie było już nic między nami, bo znów chciał iść ze mną na cmentarz i jechać do Gdyni.

Wyszliśmy w mrok. Zajęty uporczywą myślą o ostatniej już teraz

Pełen nieznanych wiadomości o warunkach pracy konspiracyjnej przed powstaniem styczniowym pamiętnik Pelagii Dąbrowskiej, żony słynnego rewolucjonisty Jarosława Dąbrowskiego, przynosi listopadowy zeszyt

MIESIĘCZNIKA
„Twórczość“
Wszędzie do nabycia. Cena 70 zł

Grób Abrahama na cmentarzu oksywskim

szansie odzyskania samotności, nie spostrzegłem nawet, jak stanął przed resztkami zburzonej plebanii i przed potokiem ludzkim spływającym z cmentarza.

„Widzi pan, nie wolno" — pokazał ręką. — „Nie wolno już iść — Rybna 7 — port rybacki..." i zniknął w mroku zabudowań.

Ludzie opuszczali już cmentarz. Nikt nie wchodził do kościółka popatrzeć w górę na niebo między krokwiami. Światła zostawały same pod szpalerami pochylonych brzóz. Na samym dole tylko, w kącie cmentarza, dwoje dzieci zapomniało w blasku płomyków, że już dawno nastała noc. W kręgu nagrobnego światła chłopiec i dziewczynka raz po raz poprawiali knoty lampek, nie pamiętając zupełnie o ludziach, którzy odeszli z cmentarza i gęstej nocy, która otoczyła ich świetlny świat.

Podszedłem bliżej na skraj światła. Nie oglądnęły się nawet. Zapytałem, czy nie boją się: że już późno — i od razu spostrzegłem, że głos mój jest jedynym głosem na cmentarzu. Zdziwione popatrzyły na mnie jak na kogoś, kto chce podmienić im ich jasny świat. Bez słowa odwróciły twarze do płomyków i dalej przestawiały jasne, nad ciemnym morzem roztopione lampki.

Czarny, posępny trup niemieckiego pancernika wciąż leżał bez ruchu w strzaskanych ramionach falochronów.

Ostatni schodzi w cmentarz wysoki marynarz w berecie. Z papierosem w ustach i rękami w kieszeni, nie skręcając do żadnego grobu, powoli idzie główną aleją w dół, do samego końca i wraca do autobusu.

Zgasła lampka Budzisza przed pomnikiem Abrahama. Pusto już na cmentarzu i pusto już u Chojki.

W dwie niedziele później pojechałem znów na Oksywie. Słońce chowało się już za Kamienną Górę. Garść ostatnich płomieni odbiła się od cichego lustra zatoki i w pełnym odblasku morza poszła na brzozy i na cmentarz.

Daleko na horyzoncie dziewięć ciemnych poławiaczy min ogromnym łukiem jeszcze raz przeczesywało zatokę. Chmara dzieci z sierocińca przeleciała w dół przez puste groby nad jedyną matką na cmentarzu klęczącą przed drewnianym krzyżykiem z kotwicą.

Dwie pary tylko siedziały u Chojki. Blada dziewczyna piła powoli z bosmanem i Chojka miał dziś dużo czasu. Wspomniałem Zaduszki — niedawny wielki ruch na Oksywiu. — „Przed wojną były bogatsze" — westchnął. — „Przyjeżdżali wojskowi, czy ktoś inny... na grób Dreszera... był cmentarz marynarki i garnizonu... pan nie widział... Każdy w Gdyni kogoś tu ma"—wrócił po chwili do ostatnich świąt.

Bosman zapłacił i zabrał dziewczynę w czarną noc. Wyszedłem na plac i smutno zrobiło mi się na Oksywiu, które zostało cmentarzem Gdyni i któremu być w pełni żywym dane jest tylko w święto umarłych.

Oto morze.

Zimny przeszywający wiatr targa szarfami marynarskich wieńców na oksywskim wzgórzu, drze na ulicach Gdyni klepsydry żałobne kapitanów naszej floty, poległych u wybrzeży Islandii.

Oto nasza granica z kontynentami Wielkiej Brytanii i lądem Waszyngtona, oto przyjaciele naszej młodości. Robinson Kruzoe i dzieci kapitana Granta, wszystkie brygi Conrada.

Dla Nowaczyńskiego białokamienna Gdynia basenów i nabrzeży była nowym światem. W łezce wzruszenia starego „odkrywcy" Gdyni, wśród świateł nowoczesnego portu, odbijała się Arkadia pasterska i patriarchalna, gromadka checz kaszubskich z brzydkim kurhausem w amfiteatrze Bożej Zatoki. Zawadzało się o tę wioszczynę w czasie wycieczek automobilowych w okolice sopockiej Sodomy i siadało na grobach oksywskiego cmentarza, żeby patrzeć ku morzu.

Dla naszego pokolenia różnica między dzisiejszą a w wycieczce gimnazjalnej ujrzaną Gdynią — to tylko stare i nowe uzbrojenia nabrzeży, stare i nowe dźwigi, znane i nieznane banderv w basenach.

I kiedy patrzę z oksywskiego wzgórza na Gdynię, na falochrony i kołujące ramiona kranów, kiedy widzę, jak jedynym zorganizowanym i planowym wysiłkiem w ciągu lat zdobyliśmy między wiekowymi portami niemieckimi rozległe tradycje morskiej pracy, kiedy godzinami wystaję u nadmorskich gro-

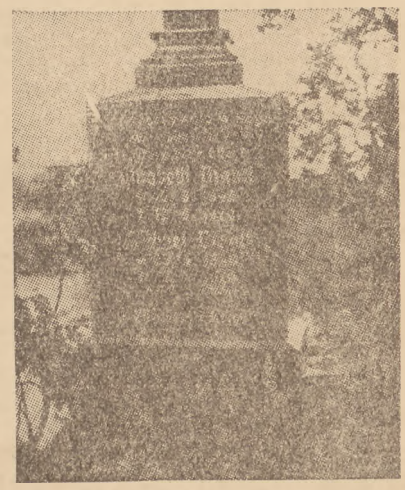

Napis na nagrobku przerobiony w czasie okupacji na niemiecki

bów naszych rybaków i marynarzy i naszej dziwnej piechoty, która przez trzydzieści dwa dni broniła niepodległości tego morza, widzę także inną smutną prawdę dziejów mojej Ojczyzny:

Mieliśmy błędnych admirałów mórz, Arciszewskich na obcych statkach obcym dynastiom zdobywających całe kolonie i posiadłości, mieliśmy swoich Gerbaultów, żeglarzy samotnych Janów z Kolna i samotnych kapitanów w służbie innych narodów, ginących u brzegów dalekich wysp. Nasze załogi prowadziły w mgle północnych mórz alianckie konwoje, samotne bohaterstwo naszych dywizjonów lotniczych ratowało wyspy brytyjskie. Belgia opierała się Niemcom sześć dni, Holandia siedem i siedem dni broniło się Westerplatte.

Ale nigdy nie mieliśmy wielkiej warstwy ludzi morza, która zakorzeniona, wrosła w brzegi, zdołałaby je nam trwale utrzymać gospodarczo i politycznie, dla której morze byłoby kęsem powszedniego chleba. Nigdy nie umieliśmy rozbudować własnej materialnej podstawy dla bohaterstwa naszych załóg i naszych kapitanów — własnych portów, własnych okrętów, własnych linii komunikacyjnych i handlowych, nigdy nie umieliśmy przemienić pionierstwa naszych błędnych admirałów w powszechny romantyzm codziennej pracy na morzu.

Poczęło się to po raz pierwszy w naszych rolniczych dziejach w morskiej, robotniczej Gdyni i właśnie o tę Gdynię poszło w ostatniej wojnie. Paradoksem dziejów będzie fakt, jak rzadko w głębi kraju nawiedza nas świadomość, że o brzegi morskie, brzegi Helu biliśmy się najdłużej i że w tej śmiertelnej wojnie morze było naszą ostatnią niepodległą ziemią.

Franciszek Gil

JANINA PREGERÓWNA

Muza smutku i zemsty

W roku bieżącym upływa 125 lat od dnia urodzin N. A. Niekrasowa (1821—1878). Twórczość poety, uznanego za przedstawiciela najserdeczniejszych dążeń młodzieży rewolucyjnej lat 1860—1870 w Rosji — nabiera dziś nowej aktualności w związku z programem, głoszonym przez współczesny ruch literacki. Pisarze rosyjscy widzą w nim słusznie nauczyciela stylu, który pragną rozwijać — „socjalistycznego realizmu". W historii literatury rosyjskiej poeta-społecznik ma znakomite i zasłużone miejsce.

Pochodził z ziemiańskiej rodziny. Stosunki domowe przedstawiały bardzo smutny i bardzo pospolity w Rosji ówczesnej obraz zdziczenia kulturalnego i moralnego. Od 17 roku życia Niekrasow zrywa z ojcem i utrzymuje się sam w Petersburgu. „Niedouczony" pracuje nieludzko, aż do zupełnego wyczerpania sił. Bardzo uparty — nie umiera z głodu, lecz przetrzymuje najtrudniejszy okres. Powoli zdobywa stanowisko w świecie literackim i przyjaźń Bielinskiego i jego kółka. Wpływ Bielinskiego, jak później Dobrolubowa i Czernyszewskiego, zaważył decydująco na ukształtowaniu jego „twórczej duszy" czy też „twórczego sumienia". Bielinski pierwszy też daje pozytywną ocenę jego poezji, która od 1846 roku rozwija się w wielką lirykę „kochającej nienawiści". Wszystkie siły swego życia poświęcił jednak Niekrasow nie twórczości poetyckiej, lecz pracy redaktorskiej. Przez 30 lat stoi na czele pism przodujących rosyjskiej myśli demokratycznej: „Sowriemiennik" i „Otieczestwiennyja Zapiski". Współpracownikami jego w tym dziele byli: Dobrolubow, za wcześnie zgasły, Czernyszewski, za życia pogrzebany w więzieniu, potem Jelisiejew, zasłużony demokratyczny publicysta i Sałtykow-Szczedrin, znakomity satyryk. W obronie żywego słowa i żywej myśli toczy, jako redaktor i jako autor, zacięty bój z carską cenzurą — i kończy go dopiero na łożu śmierci. Zajadły i nieustępliwy usiłował wbrew pracy nożyc cenzorskich dotrzeć tam, gdzie był potrzebny — i mimo własnych bolesnych zwątpień — docierał. Wiersze jego stały się hasłem rosyjskiej młodzieży rewolucyjnej najlepszych i najszlachetniejszych przedstawicieli Rosji ówczesnej. Turgieniew, z którym się potem rozstał, Tołstoj, który w jego piśmie debiutował, Dostojewski, który rozwijał jego motywy — mają głębokie uznanie dla jego talentu. A talent to był szczególny — i program poetycki charakterystyczny.

„Kiedy długo tłumione męki wzbierają pod sercem — piszę. Dźwięki rymowane naruszają moją zwykłą pracę. A przecie nie są gorsze od płaskiej prozy i poruszają wrażliwe serca, jak łzy, które nagle popłyną z rozgoryczonych oczu. Lecz nie pochlebiam sobie, by ocalało coś z nich w pamięci ludu. Nie ma w tobie swobodnej poezji, mój surowy, niezgrabny wierszu! Nie ma w tobie twórczej sztuki... Lecz kipi w tobie żywa krew, tryumfuje uczucie, co się umie mścić, i tli dopalająca się miłość — ta miłość, która sławi dobrych, piętnując złoczyńcę i głupca, i cierniowym wiankiem darzy bezbronnego śpiewaka..."

Bo poeta bywał bezbronny nie tylko wobec duszącej przemocy zewnętrznej — lecz także wobec samego siebie, własnego charakteru, który nie był bez skazy i znał upadki. Stąd gorycz paląca jego liryki, jej patos moralny, patos walki ze złem. Nienawidził go wszędzie wokoło siebie, w pańszczyźnianej rzeczywistości rosyjskiej, a przecież wkradało się ono i w jego duszę, w duszę człowieka głodnego, który zbyt długo i uparcie musiał walczyć o wszystko w życiu. Stąd czasem — jakże boleśnie! — czuł się „Rycerzem na godzinę". Mimo to był jednak wybitnym przedstawicielem nowej klasy w Rosji — pracującej inteligencji — tego „myślącego proletariatu" (tzw. „raznoczincy" — termin, który wskazuje na plebejskie pochodzenie lub zatrudnienie tej inteligencji). Ta bardzo zasłużona dla intelektualnego i moralnego rozwoju kultury rosyjskiej warstwa najgłębiej odczuła i przyjęła jego twórczość.

Gniew, walka i satyra, wyrzuty — i liryzm: oto treść jakże bliskich prozie poezyj Niekrasowa. Do prozy zbliża je duże pokrewieństwo z publicystyką. Wszystkie powstały z gleby nieszczęścia, bynajmniej nie chimerycznego: z gleby pańszczyźnianej. Dola chłopa, pracującego nad siły ludzkie, a przecież czującego po ludzku i znającego cierpienie psychiczne, znalazła w nim genialnego odtwórcę. Stworzył tu szczególny gatunek „liryki drugiego człowieka" (jak wyraża się współczesny krytyk rosyjski o innym zresztą poecie). Obok tego epika, gawęda i ludowość — oto dziedziny, które zajmują poważne miejsce w jego twórczości.

Co do formy, bądź kontynuuje tradycje, odziedziczone po wersyfikacji Puszkina i Lermontowa, bądź sięga do rytmiki pieśni ludowej. Z tego źródła, to jest z rytmiki, leksyki i obrazowości ludowej, potrafi wydobyć cenne wartości poetyckie: stworzyć muzykę zgodną z charakterem narodowym i pełną osobistej ekspresji, dać niektórym utworom szatę polichromii, egzotyczną i nową (szczególnie tak popularni „Korobiejniki", „Zielonyj szum"). Krokiem naprzód było również wprowadzenie do poezji, z dobrym wynikiem, świadomych prozaizmów lub wyrazów uchodzących wówczas za „niskie".

Namiętny, uczuciowy charakter poezji Niekrasowa stawia go na całkiem odrębnym miejscu wśród rosyjskich wielkości — Puszkina i Lermontowa.

Wspólny jest im wszystkim realizm. Realistyczny jest w poezji Niekrasowa ukochany, ubogi pejzaż rosyjski, na który patrzył przez okrutny śmiech i palące wstydem łzy. W szkicach wsi („Korobiejniki", „Psowaja ochota", „Diadia Własa") spotykamy rysy puszkinowskiej trafności i turgieniewowskiej subtelności, epicką „naiwność" i werystyczne okrucieństwo. Jest tu umiłowany krajobraz nadwołżański, który nie pozostał też bez wpływu na współczesne pokolenie wielkich malarzy rosyjskich, szkoły tzw. „pieriedwiżnikow", krajobraz, w którym główną i monotonnie natarczywą nutą jest beznadziejny trud rosyjskich „burłaków". Smutek pracy ponad siły, jako głównej cechy losu rosyjskiego ludu, jest dominantą jego poezji. I sam poeta w jednym z najpiękniejszych wierszy utożsamia się z oraczem, którego łan nie skoszony skarży się na zaniedbanie gospodarza — snać mu sił nie stało. — Muzą swojej poezji czyni chłopkę rosyjską, która bita knutem zachowuje patetyczne milczenie.

Z tej ukochanej gleby nieszczęścia czerpie poeta siły do nienawiści całego świata ucisku i pustki, który ponosi winę za wszystkie najcięższe krzywdy chłopa rosyjskiego, rosyjskiego myśliciela i rosyjskiego zesłańca, i jego bohaterskiej towarzyszki („Russkije żenszczyny"). Stąd powstaje bezlitosna satyra ścigająca wykoszlawienia i potworności „uprzywilejowanego świata". Wiersze, poświęcone kupcom, urzędnikom, damom, kołysanki, które już w niemowlęciu piętnują przyszłego łapownika, pochlebcę, zdrajcę i złodzie-

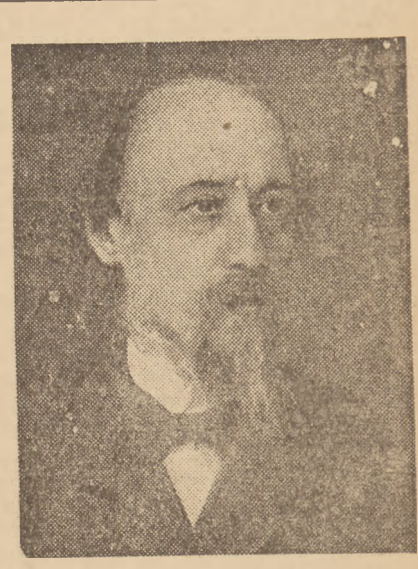

N. A. Niekrasow

ja — i wzruszające zawartym w nich ładunkiem pragnienia rymowane programy naprawy człowieka („Piesnia Jeriomuszkie"). Stąd epika różnych „żywotów miejskich", „chwaląca" wódkę, jako jedyną ucieczkę, pozwalającą Rosjaninowi znosić życie i uniknąć zbrodni. Obok satyryka był także w Niekrasowie głęboki liryk. Jego erotyki stanowią odrębną pozycję w literaturze rosyjskiej. Temat został ujęty po raz pierwszy ze stanowiska „inteligentnego - proletariusza", który wnosił tu znajomość doli miejskiej i niejeden gorzki akcent liryczny („Kiedy z mroków błędu gorącym słowem przekonania podniosłem duszę upadłą").

Ostatni okres swego życia poświęcił Niekrasow tworzeniu niedokończonej epicko-satyrycznej „encyklopedii" z życia ludu rosyjskiego o ironicznym tytule „Komu w Rosji dobrze żyć?" Poemat ten był pisany po rozczarowaniu niedokończonej reformy chłopskiej, po zniesieniu pańszczyzny, które połowicznym rozstrzygnięciem nie zaspokoiło żadnej ze stron.

Niekrasow był poetą, który miał, żeby się tak wyrazić, „naturalne" zamiłowanie do sprawy społecznej, tak jak np. u nas Żeromski, i dlatego uczynił z niej poezję prawdziwą. — Dlatego też naśladowanie go z założeń programowych, a bez tej samej dyspozycji psychicznej — nie da wyników. — Mimo mnóstwa pozbawionych wartości poetyckiej dłużyzn, prozaizmów i programów w jambach — pozostało po Niekrasowie dzieło porywające, o nie dającej się zaprzeczyć, wysokiej wartości poetyckiej.

Rosjanie widzą w nim ukochanego poetę-patriotę i społecznika. Był najwybitniejszym w poezji przedstawicielem tego charakterystycznego dla literatury rosyjskiej nurtu: literatury niezaspokojonego sumienia; bardzo dostępna, o prostocie niemal genialnej w niektórych utworach, tak że stały się one literaturą dla elementarzy — nie traci przez to nic z rangi artystycznej. Przemawia nieporównaną bezpośredniością, która nie pozwala czytelnikowi na sybarytyzm lektury „konsumcyjnej", lecz czyni go współwinnym świata i jego zła.

Swoje wiersze, zrodzone z cierpienia, sam najwierniej określił tym wyznaniem: „Prosto czy krzywo widzę — nie wiem, lecz dusza kipi: tak głęboko nienawidzę i tak bezinteresownie kocham".

Janina Pregerówna

WIELKOPOLSKA
KSIĘGARNIA WYDAWNICZA
P. Z. P.
POLECA JAKO NAJLEPSZY
PODAREK GWIAZDKOWY
DOSTĘPNY DOSŁOWNIE
DLA WSZYSTKICH
WSPANIAŁE DZIEŁO
MARII I ZYGMUNTA
WOJCIECHOWSKICH
POLSKA PIASTÓW
POLSKA
JAGIELLONÓW
Format 25×17. Stron 480. Rycin 195.
Mapek 17. Tablic rodow. 9. Wklejek barwnych 4
Cena również dostępna dla wszystkich
Tylko 300 złotych
290

WIELKOPOLSKA
KSIĘGARNIA WYDAWNICZA
P. Z. P.
ZAWIADAMIA, IŻ UKAZAŁA SIĘ W DRUKU
POWIEŚĆ HISTORYCZNA
Z CZASÓW CHROBREGO
WŁ. J. GRABSKIEGO
ŚLADEM WIKINGÓW
SAGI O JARLU BBONISZU
CZĘŚĆ II
Stron 416 Cena 320 zł
WKRÓTCE UKAŻĄ SIĘ:
HANNY MALEWSKIEJ
ŻNIWO NA SIERPIE
POWIEŚĆ O NORWIDZIE
JANA PARANDOWSKIEGO
DWIE WIOSNY
WYDANIE DRUGIE
291

MARIAN PODKOWIŃSKI

88 I NIEMCY

W Bawarii przychwycono kiedyś hitlerowską organizację, która podpisywała swoje manifesty na murach i chodnikach kryptonimem „Acht und Acht“ (czyli osiem i osiem). Niemcy bowiem, jak wykazało doświadczenie ostatnich bez mała dwóch lat po wojnie, nie mogą żyć normalnie bez haseł i bez „wodza“. Jeśli dzisiaj w miejsce dawnego sloganu „Ein Reich, ein Volk, ein Führer“ wprowadza się nowy — „Durch das Volk — mit dem Volk — für das Volk“, a różne Kurty Schumachery i Jacoby Kelsery usiłują podnieść laskę proroka, którą Hitler zagubił w schronie Reichskanzlei, potwierdza to tylko niemiecką tęsknotę „nach der braunen Blume“, trawestując powiedzenie Novalisa. Opuszczeni przez Goebbelsa i jego wyznawców w literaturze i sztuce, Niemcy poza pustką kulturalną, jaką niewątpliwie odczuwają, znaleźli się w sytuacji politycznej dość niewyraźnej i pełnej wątpliwości. Piętnaście lat hitlerowskiego chaosu zdążyło zniszczyć zupełnie instynkt polityczny tego narodu, który dawniej mógł się poszczycić swą kulturą. Możemy zachwycać się dziełami starych filozofów niemieckich, ale trudno będzie nam żywić to samo uczucie w stosunku do współczesnych niemieckich umysłów.

Cóż bowiem ma dziś w Niemczech być podwaliną owej prawdziwej kultury niemieckiej? Kto ma wskrzesić dawne tradycje? Czy jest jakaś realna siła moralna, która by na gruzach „tysiącletniej Rzeszy“ mogła zbudować nowy gmach lub choćby sklecić razem to, co runęło pod razami hitleryzmu? Panteon literatury niemieckiej legł w gruzach. Resztki wegetują na marginesie życia niemieckiego, nie starając się już dziś nawet wejść w orbitę współczesnych Niemiec. Któż więc ma torować drogę Niemcom? Czy młodzi, którzy nie dają jeszcze gwarancji trwałości, czy też starzy, którzy nie mają już serca dla swych ziomków? Dziś w Niemczech trwa cicha wojna między tymi dwoma obozami. Ale jest jeszcze trzeci obóz. Przycichł dziś, stara się być niewidoczny, ale trwa. Czeka na przychylne wiatry, starając się za kulisami tych lub innych grup czy koterii literackich instalować dzwonki alarmowe. Gdy potrzeba, nieuchwytnymi wpływami tworzy ekspozytury — niczym zasłony dymne dla swoich idei.

Niemcy sądzą dziś zbrodniarzy wojennych, komisje denazyfikacyjne działają mniej lub więcej sprawnie, gazety donoszą wciąż o aresztowaniach leaderów poszczególnych komórek NSDAP, ale nikt nie pisze o ludziach, którzy swoim talentem i nazwiskiem szerzyli wiarę hitlerowską wśród szerokich mas czytelników niemieckich. O pisarzach hitlerowskich, którzy na podobieństwo żab ukryli się w międzystrefowym błotku politycznych antagonizmów i rozpłynęli się we mgle zapomnienia. Gdzie np. podziewa się taki Hans Friedrich Blunck, prezydent Reichsschrifttumskammer, albo taki wieszcz III Rzeszy, żarliwy hitlerowiec Hans Johst, lub Dwinger, Herbert Menzel, Felix Lützkendorf, czy Hans Rehberg i Arnold Bronnen? Oni to w milionach egzemplarzy swych trujących książek wyganiali na pole bitwy miliony niemieckiej młodzieży. Ich wiersze i dramaty uczyły nienawidzić, mordować, palić i niszczyć dla wielkości Niemiec. Gdzie są dziś ci zbrodniarze i łowcy dusz niemieckich, którzy na równi ze swymi kolegami z partii i SS powinni zawisnąć na szubienicy! Gdzie są dziś ci „pisarze“ i „poeci“, którzy w utworach swych wzywali do mordowania Polaków w kampanii 1939 roku? Nikt nie wie. Nikt się tym nawet w Niemczech nie zajmuje. Siedzą gdzieś po wsiach i folwarkach, pod swymi lub fałszywymi nazwiskami i na pewno piszą. A co piszą — możemy sobie łatwo wyobrazić.

Oglądałem niedawno pamiętny dla upadku kultury niemieckiej, październikowy tom świetnej ongiś gazety „Frankfurter Zeitung“ z r. 1933. Znajdujemy tam m. in. akt wierności i ślubowanie 88 wybitnych pisarzy niemieckich, złożone Adolfowi Hitlerowi w kilka miesięcy po zagarnięciu władzy w Niemczech. Że „będą wierni do ostatniej kropli krwi“ i są do jego dyspozycji. Tych 88 (znów acht und acht) to poeci, powieściopisarze i dramaturgowie: Walter von Molo, Agnes Miegel, Otto Flake i Hans Fallada. Eduard Stucken i Heinz Stugeweit. Hermann Claudius i Joseph Schnack. Hans Martin Cremer, Ludwig Finkh, Hans Knudsen, Hans Franck, Naso, Vesper, Griese — że tylko wymienimy bardziej znanych. może mniej w Polsce, ale za to w Niemczech mających licznych czytelników. Gdzie są teraz ci wszyscy aktywiści faszyzmu? Co robią? Jedni do dziś dnia piszą, jak choćby Hans Fallada, który dziś ma odwagę być nawet w Kulturbundzie, a za hitlerowskich czasów był RAD-Sonderführerem i pisał antyżydowskie książki na zamówienie hitlerowskich wydawców. Jeszcze we wrześniu 1943 r. pisał: „Anglia w cztery dni padnie na kolana“. Kto czytał jego powieść „Wilk i wilcy“, ten nie może mieć złudzeń co do jego demokratycznych przekonań. Przeglądając czasopisma stale spotykam takie nazwiska, jak Karl Lerbs czy Manfred Haussmann, którzy nadal drukują swoje felietony i poezje. A przecież doskonale pamiętam ich utwory w takiej np. „Krakauer Zeitung“, gdzie Haussmann, ulubieniec Hitlerjugend, drukował swe nastrojowe wiersze wojenne. Dziś drukują w pismach dla młodzieży! Humoryści, jak redaktor hitlerowskiego „Simpla“, Voltzick, Hans Ribau, albo Jo Hans Rössler, (ten trzeci zwłaszcza znany ze swych niewybrednych humoresek) nadal przypominają się swym dawnym czytelnikom. Stale spotykam dziwnie mi znane nazwiska pisarzy. Po chwili już wiem. Ten pisał dla „Völkischer Beobachter“, tamten znów do „Angriffu“, inny redagował kolumnę literacką „DAZu“. I tak w kółko.

Pracują spokojnie, albo milczą w spokoju. Co na jedno wychodzi. Ale trwają. Nowych piór jest mało, lub są nieznane, czytelnikowi obce. Ale cóż robią ci, zdawałoby się, demokraci. Albo piszą marne rzeczy, albo kłócą się w swych pismach z emigrantami, którzy nie chcą wracać. I to jest druga strona tego medalu.

Faktem jest, że mało kto do Niemiec wraca. Jedni, jak Kurt Tucholsky czy Stefan Zweig, nie wytrzymali emigracji i sami skrócili sobie życie. Inni się postarzeli, przyzwyczaili do nowego otoczenia i nie bardzo wiedzą, co robić. Powrócili tylko ludzie ze wschodniej emigracji. Becher, Theodor Plivier, Friedrich Wolf, Erich Weinert oraz Alfred Döblin z Anglii. Mało jednak o nich słychać. Pracuje tylko wydatnie Johannes Becher, ale cóż poczynie jeden człowiek. Trzon dawnej literatury wciąż tkwi na emigracji; Mannowie, Lion Feuchtwanger, Alfred Kerr, E. E. Kisch, Rudolph Leonard, Oskar Maria Graf, grupa „Forum“ w Meksyku oraz grupa sztokholmska — ci nie myślą wcale wracać. Emil Ludwig jest w Ameryce, Hermann Hesse w Szwajcarii.

Oczywiście, że dla Niemców, zwłaszcza tych, którzy pragnęliby odrodzenia się demokracji w Niemczech, sytuacja taka jest nie do zniesienia. Stąd ciągłe spory, kłótnie, a nawet interdykty. Ma to już swoją tradycję w słynnym już dziś w Niemczech, noworocznym oświadczeniu Thomasa Manna przez radio londyńskie. Pisarze niemieccy dotąd nie mogą tych słów przeboleć. „Proszono mnie, abym raz jeszcze — mówił Mann — powtórzył powody, które skłaniają mnie do pozostania na emigracji. Wiem, że atakowano mnie za to, uważając moje postępowanie za egoizm. Byłoby to z mojej strony największą głupotą, gdybym uczynił to, co niektórzy w domu uważają za mój obowiązek. Opuścić Amerykę, której ostatecznie ślubowałem wierność przyjmując obywatelstwo, byłoby największym i może ostatnim głupstwem mojego życia. I po co? Aby stać się sztandarem dla tych, do których wciąż jeszcze nie mam i nie mogę mieć zaufania? Długo czekałem na ten powrót. Będąc w Szwajcarii z dnia na dzień wyczekiwałem cudu. Jakby się wszystko inaczej ułożyło, gdyby Niemcy same wyzwoliły się z niewoli hitlerowskiej. Gdyby między 1933 a 1939 wybuchła rewolucja, czy sądzicie, że czekałbym na drugi pociąg? Przyjechałbym natychmiast pierwszym! 70 milionów ludzi przez tyle lat znosiło rządy łobuzów...“. Tak mówił Thomas Mann do narodu niemieckiego 1 stycznia 1946 roku. Wraz z tą mową upadły nadzieje narodu niemieckiego na Ersatz-führera, jakim miał być Thomas Mann, grand seigneur literatury niemieckiej i największy autorytet moralny na emigracji. Ale autor „Zaczarowanej góry“ znał dobrze swych braci i nie chciał się stać parawanem źle skrywanych fobii, które wciąż tkwią w robaczywym organizmie powojennych Niemiec.

Reakcja na tę mowę Manna była wielka. Ale najciekawsze, że pierwszy w otwartym liście odpowiedział mu nie kto inny, jak właśnie Walter von Molo, renegat hitlerowski. W parę godzin później radio niemieckie podało odpowiedź Franka Thiessa pt. „Pożegnanie z Thomasem Mannem“. Erich Kaestner napisał pełen swoistego sarkazmu felieton o twórcy „Buddenbrooków“. Arnold Bauer — dał patetyczną odpowiedź „Adieu Mann!“. Wszyscy rzucili się na wielkiego starca, ale nikt nie mógł mu rozsądnie odpowiedzieć. Dużo mówiono o patriotyzmie, rzucano nacjonalistyczne hasełka, pomawiano go o sybarytyzm i egoizm, ale ani jego, ani nas nie przekonano o słuszności sprawy, której usiłowali bronić. Jakieś pismo humorystyczne, po powrocie aktora Bassermanna, ukuło aforyzm: „Nur darf man das dem Thomas Mann nicht zum Vorwurf machen, dass er nicht ein Mann wie unser Bassermann ist“.

Mało pomogły apele do innych emigrantów. Czytałem ostatnio różne artykuły Heinricha Manna. Mało jest nadziei, aby i on powrócił. Egon Erwin Kisch jest w Pradze Czeskiej. Był przez całą wojnę w Meksyku, ale mimo że zaledwie kilkaset kilometrów dzieli go od Niemiec — nie chce wracać. Już raczej do Wiednia. Emigranci drukują nadal za granicą, a berlińscy wydawcy z braku materiału wznawiają stare powieści na wpół hitlerowskich pisarzy.

Że kampania przeciw grupie emigracyjnej trwa nadal, najlepszym dowodem jest sprawa Emila Ludwiga. Pisarz ten wygłosił ostatnio w kilku stolicach europejskich odczyty o Niemczech. Za swoje prelekcje został on napastliwie skrytykowany przez wiele pism niemieckich, które posunęły się aż do zarzucania mu zdrady narodowej. Inni odmawiali mu prawa przemawiania w imieniu literatury niemieckiej, choćby i na emigracji. Z licznych głosów polemicznych warto zanotować, co napisała „Süddeutsche Zeitung“, ukazująca się we Frankfurcie nad Menem. Chodzi tu o paryski odczyt Ludwiga, w którym autor „Wilhelma II“ skrytykował współczesną demokrację niemiecką. — Emil Ludwig — czytamy w tej gazecie — jest pierwszym pisarzem niemieckim, który wygłosił odczyt o Niemczech przed publicznością francuską. Podniósł się jednak głos, który odmówił Ludwigowi — prawa do nazywania się szermierzem demokracji niemieckiej w literaturze, a mianowicie głos poety i dramaturga niemieckiego żyjącego w Paryżu, Rudolfa Leonarda. Człowiek ten ma za sobą takie dzieła jak „Polskie piosenki“ i dramat o zakładnikach francuskich, a jego ucieczka z więzienia w Castres i udział w maquis dają mu prawo do przeciwstawienia się tezom Ludwiga. Oczywiście, Ludwig nie był nigdy nazi, powiedział Leonard, nie znaczy to jednak bynajmniej, że walczył z faszyzmem z ową wiarą i przekonaniem, jakie cechowały innych prawdziwych demokratów. Ludwig potrafił wyzyskać koniunkturę na życiorysy wielkich ludzi, zalewając rynek nie zawsze trafnie dobranymi postaciami. Jednako pisał o Chrystusie i Wilhelmie, o Bismarcku i Stalinie. Gdy pisał o Mussolinim, czyż nie zbliżał go — choćby i w anegdotach — do czytelników wtedy, gdy Abisynia walczyła o swą wolność? Emil Ludwig był jedynym spośród emigrantów niemieckich, który na wiele lat przed wojną wypowiedział się za wojną. W nadziei, że tylko ona spowoduje upadek Hitlera. Że historia potwierdziła jego rację, nie może to być dla niego ani politycznym, ani moralnym usprawiedliwieniem, dodaje Leonard. Pytanie, czy Emila Ludwiga należy w ogóle traktować jako emigranta, można poddać dyskusji. Nigdy nie brał udziału w walce, był przecież obywatelem szwajcarskim! Można odnieść wrażenie, że opuścił Niemcy nie ze względów politycznych, ale raczej z przyczyn podatkowych.

Czy jednak emigrant Leonard nie za mocno powiedział o emigrancie Ludwigu? Czy rzeczywiście opuścił on Niemcy dlatego, że za wiele zarabiał, czy może dlatego — że Hitler umieścił go na pierwszej liście proskrybowanych? Jak można wobec tego mieć zaufanie do tych wszystkich sporów niemieckich, skoro nawet tacy ludzie, jak Leonard, nie umieją być obiektywni.

Jedno jest pewne. Na odcinku literackim, podobnie jak i na innych polach walki o nowe Niemcy, panuje zamieszanie i nieufność. Jedni drugim nie mogą wielu rzeczy wybaczyć, wszyscy nie znoszą się nawzajem, podczas gdy prawdziwi winowajcy łowią ryby w mętnej wodzie powojennego bałaganu.

I w tym tkwi największe niebezpieczeństwo.

Marian Podkowiński

WACŁAW KUBACKI

List z Poznania

Od dawna zabierałem się do obiecanego listu o teatrze. Zbyt silne skróty perspektywiczne bywają czasem niebezpieczne. Życie teatralne w Poznaniu doznało tak gwałtownego bodźca wskutek przyjazdu Karola Borowskiego, że patrząc na wystawioną z początku sezonu sztukę Józefa Korzeniowskiego „Majątek albo imię“ nie mogę uwierzyć, że niedawno widziałem na tych samych deskach taką „Przepióreczkę“, że uciekać się chciało z teatru już nie w proso, lecz o wiele dalej, gdzieś w pieprz turecki lub angielski.

O nowym sezonie napiszę w liście następnym. Dzisiaj oddam się wspomnieniom. Kiedy sięgam myślą wstecz i zastanawiam się nad ogólnym wrażeniem z teatrów poznańskich w ubiegłym roku, to stają mi przed oczyma obrazy szlachetczyzny: kontusze, żupany, pasy, sumiaste wąsy, karabele, kielichy, panny z długimi lnianymi warkoczami, w obszywanych futerkiem „kontusikach“, izby czeladne, kołowrotki, służebne, ochmistrzynie, starzy słudzy, rębajły, krętacze i pieniacze. Podziwiam ilości czerwonych, safianowych butów i bucików, jakimi rozporządzają dyrektorzy teatrów poznańskich. W kryzysowych czasach to istni Krezusi obuwia.

Fredro, Malczewski, Mickiewicz, Rzewuski, Słowacki, Pol, Syrokomla, nie mówiąc o librettach Moniuszki, to staropolszczyzna stylizowana. Towarzysz pancerny już za czasów Krasickiego był figurą groteskową, a jego strój i broń dekoracyjnym anachronizmem. W „Panu Podstolim“ ukazuje się raz taka komiczna sylweta: „Najmłodszy, towarzysz pancerny, w czerwonych, safianowych, skrzypiących butach, opasany pod brzuch, podgolony z wysoka, kuso, buchasto, dźwigał miecz u kolana; ustawicznie ręce zacierał, pluł w bok i po czuprynie się głaskał“ To, co w XVIII wieku trąciło myszką i raziła rubasznością, zarozumialstwem i ciemnotą, to po rozbiorach kraju zostało w literaturze kanonizowane na pamiątkę narodową. Na odwrót elementy postępowe zostały ośmieszone pod mianem „francuszczyzny“.

Widz współczesny siedząc na przedstawieniu „Strasznego dworu“ lub „Hrabiny“ nie zdaje sobie sprawy, że patrząc na daremne umizgi faceta w atłasowych spodniach, z koronkową chusteczką w dłoni, i na zwycięstwo miłosne „towarzysza pancernego“ bierze udział w najwnej gloryfikacji kukiełkowatego sarmatyzmu. Ten zaś krygujący się galant w płytkich pantofelkach i fontaziu to daleki, skarykaturowany potomek racjonalizmu. Warto, żeby pisarze zajmujący się genealogią sarmatyzmu u Sienkiewicza i Weyssenhoffa zwrócili uwagę na społeczną rolę oper Moniuszki.

Najzabawniejszą rzeczą w tej całej pompie kostiumowej jest fakt, że te narodowe stroje nie bardzo są polskie. Nie wiem, czy za Piastów nosili się książęta i panowie akurat tak właśnie, jak paradowali w „Masławie“ Zawieyskiego, to znaczy w łapciach i w spodniach o formie pośredniej między bryczesami i kalesonami. Na kostiumologii historycznej niewiele się znam. Nie trzeba być przecież rzeczoznawcą muzealnym, żeby stwierdzić, że pokazywane na scenach ubiory staropolskie są wymowną ilustracją do słów o „pawiu narodów i papudze“. Jest to barwność i malowniczość pożyczona, bajecznie kolorowa cudzoziemszczyzna: węgierska, wołoska, kozacka, czerkieska, tatarska i turecka, i Bóg wie jaka jeszcze. Znamienna pod tym względem będzie scena przebierania się w „Panu Jowialskim“ (akt II): krotochwilne towarzystwo postanawia się zabawić w orientalny dwór i wciąga „kaftany tureckie“. Nie dlatego, że tyle zdobycznych kaftanów było w każdym polskim dworze; od dawna Polska nie toczyła wojen zaborczych i raczej dawała łupy niż brała; łachów zaś wziętych pod Wiedniem nie mogło przecież starczyć dla całej szlachty na całe stulecie! Dzieje się to prawdopodobnie dlatego, że zwyczajny ubiór szlachecki łatwo było zbisurmanić, kaftany bowiem i niekaftany staropolskie mocno są podobne do „tureckich“ strojów.

Co w „Panu Jowialskim“ było maskaradą, to na naszych scenach stało się nabożeństwem wskutek nieszczęść narodowych. Historia jest historią, na to nie ma rady. Współczesność wszakże jest również czymś, z czym się trzeba liczyć. Ponieważ opera i teatry przemieniają się w żywe muzea, miejmy nadzieję, że współczesne, żywe dzieła zaczniemy niedługo oglądać w muzeach i gabinetach starożytności. Wówczas zaśpiewamy gromkim głosem valetę towarzyszowi pancernemu: „Ruszaj bracie, ruszaj w pole...“ A jak groźby nie posłucha, w imię Ojca, Syna, Ducha, — użyjemy przeciw pancernemu i kontuszowemu upiorowi potężniejszego zaklęcia:

Wynocha paralusie!
— — — — — —
Idź precz, idź precz na pole,
huś ha, hulaj, chochole!

Nie mogę jednak powiedzieć, żeby repertuar zeszłoroczny był całkiem oderwany od rzeczywistości. Czasami sztuki zgadzały się jakoś z sytuacją ogólną. Pomijam nędzne próby uwspółcześnienia operetek Lehara przez „aktualne“ dowcipy. Były to imprezy najciemniejsze i podobno najbardziej kasowe. Na tym polegała ich „współczesność“: brak smaku kierownictwa dostosowywał się starannie do braku smaku publiczności. Nie brakło też aktualności żywszych „Sublokatorka“ znakomitą część swego powodzenia zawdzięczała rozpaczliwej ciasnocie mieszkaniowej w Poznaniu. W ko-

medyjce tej aktorzy pięknie się ubierali, mieli nie wiedzieć skąd pieniądze na „odstępne“ i „manipulacyjne“ w sprawach mieszkaniowych, a biedna ślicznotka, która się tuła bez dachu nad głową, wyglądała jakby właśnie wyszła z drogiego magazynu mód — słowem bohaterzy mogli robić wrażenie jakichś lepszych kombinatorów. Spekulanci, dorobkiewicze i macherzy mogli być zdania, że są to żywe i sympatyczne postaci.

Pod koniec zeszłorocznej zimy, którą spędziliśmy w Poznaniu bez węgla i częściowo bez szyb, pokazano nam w „Cyganerii“, że można opalać zimne mansardy rękopisami. Mój Boże, jakimi rękopisami i inkunabułami palono niedawno w piecach! Całe biblioteki płonęły jak ogniska na biwakach. Rąbano bezcenne antyki na opał. W ogień rzucano płótna największych malarzy i najkosztowniejsze tkaniny. W stosy ofiarne zamieniały się wspaniałe zabytki budownictwa. W dym i popiół obróciło się kilkanaście milionów ludzi. Po takich przeżyciach scena palenia nie wiadomo jakich poematów nie mogła nikogo przekonać. Nawet gdyby to były wiersze awangardowe, sam antracyt poezji, brykiety liryki, teżby nikt nie uwierzył, że w ten sposób można podnieść temperaturę w pokoju. To za mało efektowne! Co innego, gdyby marznący poeta wpadł na myśl podpalenia Biblioteki Narodowej albo Biblioteki Arsenału, albo gdyby skostniały od zimna malarz poszedł zagrzać zgrabiałe dłonie przy pożarze Luwru! Można by to od biedy uznać za jakąś bladą kopię rzeczywistości. A tak, to wychodzi humoreska, która bawi, kiedy się ją czyta, ale której nie powinno się pokazywać na scenie.

Cudownie się odmładzającego i beztrosko używającego wątpliwych przyjemności Fausta (Gounoda) nie można uznać za widowisko pedagogiczne. Za dużo dzisiaj ludzi chciałoby żyć psim swędem i bujać próżniaczo po świecie, choćby za cenę nieśmiertelnej duszy. Faust jest poza tym strasznym egoistą: sam wypija łapczywie eliksir młodości, tymczasem powinien choć parę kropel tego boskiego płynu zostawić na odmłodzenie niektórych członków zespołu operowego!

Opera jest złożonym typem przedstawienia: wymaga śpiewaków, którzy by byli nadto aktorami, chórów, orkiestry, reżyserów i dekoratorów. Oprócz tego wszystkiego potrzeba jeszcze dużo pieniędzy. Teoretycznie najłatwiej o pieniądze — praktycznie jednak trudno i o ten, najbardziej uchwytny, współczynnik kultury i sztuki. Subsydia na teatr są stare jak teatr. Nie liczyli na kasę ani Grecy, ani Rzymianie. Stanisław Windakiewicz ogłosił w rozprawie o „Dramacie liturgicznym w Polsce“ (Kraków. 1903) następujący szczegół. w wydatkach miasta Kazimierza pod Krakowem figuruje w roku 1377 pozycja: „Item (domini consules) dederunt VI grossos pro iuvamine ludus paschalis Domini“ (str. 18) — czyli panowie radcy miejscy wstawili do budżetu kwotę groszy sześciu jako subwencję na wystawienie w kościele parafialnym w Kazimierzu widowiska pasyjnego! Nie trudno zauważyć, co się w historii teatru powtarza, a co stanowi względne novum. Dzisiaj Zarząd Miejski lub Ministerstwo Kultury i Sztuki dają na przedstawienia setki tysięcy. Tylko że w wieku XIV sześć groszy to był pewien fundusz. Dzisiaj zaś paręset tysięcy na operę, to dosłownie — grosze!

Nic tedy dziwnego, że ambitna dyrekcja opery jest mocno ograniczona w swych planach artystycznych. Sytuację komplikuje fakt, że opera musi grać w tej chwili także rolę studia i szkoły operowej. Dyr. Latoszewski zaczął od początku: kształci zespół wokalno-instrumentalny i układa garnitury operowe. Największy kłopot ze śpiewakami. Artyści przedwojenni starzeją się, a młodzi nie mieli gdzie się uczyć. Z sił młodszych na pierwszym miejscu wymieniłbym, ze względu na materiał głosowy, Kostalównę.

Rozumiejąc trudy organizacyjne, kłopoty finansowe i przeszkody techniczne nie waham się wyznać, że repertuarem zachwycony nie jestem. „Faust“ Gounoda, „Pajace“ albo „Rycerskość wieśniacza“ to nie są dzieła wielkie i żywe. Otwarcie mówię, że na takie sztuki szkoda pieniędzy (zwłaszcza przy ograniczonych możliwościach głosowych). W naszych warunkach śpiewaczych nie może uratować tych dzieł nawet wielka koncepcja inscenizacyjna. Obiecano nam utwory lepsze. Czytam nawet w warszawskim „Kurierze Codziennym“ (z 25 listopada br.), że w Poznańskiej Operze „Moniuszko (“Straszny dwór“), Paderewski (.Manru“), Mussorgski („Borys Godunow“) przeplatają się z Rossinim, Puccinim i Mascagnim oraz kompozytorami francuskimi“. Być może, że będą się przeplatać. Na razie jednak niewiele więcej w tym prawdy, co w informacji tego samego dziennika, że Opera Poznańska znajduje się przy Placu Wolności!

Nie łatwo też zgodzić się z dyr. Latoszewskim, że skreślenie ostatniej arii Hrabiny i finał zaokrąglony i uproszczony ma być przykładem „w jaki sposób inscenizuje się dziś opery, aby przedstawić je muzycznie i scenicznie jak najżywiej“. Nie można starym sztukom wytykać „nieprawdopodobieństwa“ sytuacyjnego, albowiem prawie wszystko, co się w operze dzieje, jest mocno nieprawdopodobne. Mówienie „na stronie“ lub „do siebie“ — należy do stylu dawnego teatru. Z tego powodu żaden historyk literatury lub teatrolog nie mówi o „błędzie“ Szekspira, Goethego, Schillera, Mickiewicza lub Fredry. To nie błąd, to konwencja. Nie ma więc powodu mówić o „błędzie“ Wolskiego i Moniuszki. Finał „Hrabiny“ w inscenizacji poznańskiej jest żywy, ale banalny. Finał Moniuszki jest mimo wszystko subtelniejszy. Jeśli w ogóle mamy przestrzegać zasad „żywości“, to czemu skracając Moniuszkę nie poskracał dyr. Latoszewski różnych „nieprawdopodobieństw“ i dłużyzn w „Rycerskości wieśniaczej“ (Santuzza stanowczo za długo zdradza tajemnicę miłosną swego dawnego kochanka, o której i tak wszyscy na scenie i na widowni wiedzą!).

Tęsknotą za wielkim repertuarem wytłumaczyć sobie można znaczny sukces „Wesela“ w Teatrze Polskim (mimo że przedstawienie nie stało na poziomie godnym Wyspiańskiego), a także powodzenie takiej imprezy amatorskiej, jak wystawienie przez akademicką sekcję teatralną „Odprawy posłów greckich“ Kochanowskiego w Teatrze dla młodzieży.

Forma „Odprawy“ nie jest prosta. Dwa wielkie „monologi“ panują nad sztuką i rytmizują ją dość charakterystycznie: monolog sprawozdawczy z posiedzenia rady trojańskiej i monolog Kassandry. W ramach poetyki klasycznej monolog pierwszy to pierwiastek epicki; monolog drugi to pierwiastek liryczny i to liryczny w specjalnym, dziś nam trochę obcym sensie: natchniony, hymniczny, entuzjastyczny w starożytnym znaczeniu tego słowa. Przedstawicielką tego gatunku liryki jest oda. Obok liryki patetycznej mamy w „Odprawie“ także lirykę w znaczeniu dzisiaj potocznym, to jest pieśń i tzw. lirykę refleksyjną.

Epika „rodzajowa“ i liryka czują się w sztuce największego poety staropolskiego jak u siebie w domu. Nie ma natomiast w „Odprawie“ elementu dramatycznego we właściwym tego słowa znaczeniu. Jest jednak schemat dramatyczny. Realizatorzy stają przed mnóstwem trudności analitycznych i interpretacyjnych, nie mówiąc już o ciężkich zadaniach aktorskich. Oba duże monologi stanowią nie lada problem nawet dla wybitnych artystów dramatycznych. Chóry „Odprawy“ wymagają również pracowitych studiów deklamatorskich oraz subtelnej interpretacji. Nic trudniejszego bowiem nad wymowę milczenia i gestu.

Postać Kassandry wprowadza na scenę pierwiastki patologiczne. Jaskrawość tej roli, pokazanie dziwności psychologicznej, świadczy o studiach Kochanowskiego nad Eurypidesem i Seneką, a zarazem zapowiada zmianę smaku literackiego, jaka dokonała się w epoce baroku.

Często mówi się o monumentalności „Odprawy posłów greckich“. Kochanowski jednak poważnie naruszył zasady monumentalności (nawiasem mówiąc owa „monumentalność“ starożytnej tragedii jest wynalazkiem pseudoklasycznym). „Monumentalność“ została wystawiona na ciężką próbę w obu wspomnianych monologach. W sprawozdaniu z rady mamy pierwiastki komizmu, satyry i próby agitacji politycznej. W roli Kassandry, niesamowitej prorokini nieszczęść, która w boskim szale miota się po scenie, przyszła do głosu w klasycznej masce „katastroficzność“ złotego wieku literatury polskiej. Kreacja ta odpowiada późniejszemu typowi barokowo-romantycznej wyobraźni twórczej.

Podziwiamy monumentalne partie „Odprawy“ — monumentalne przede wszystkim dzięki dostojnej mowie Kochanowskiego. Partie zaś nie monumentalne budzą żywe zainteresowanie lub wstrząsają. Są one bliższe nie tylko nowożytnej poetyce, lecz także nowszej formacji psychologiczno-artystycznej widza. Szczególnie żywy okazał się dzisiaj Kochanowski jako „katastrofista“. Widziałem „Odprawę“ na dziedzińcu wawelskim w roku 1930, w czasie zjazdu naukowego dla uczczenia Jana Kochanowskiego. Grali znakomici aktorzy Teatru Słowackiego. Sztuka została ta sama. Ale myśmy się zmienili. Dzisiaj targa nami głębiej zapowiedź zniszczenia Troi. Łuna płonącej Warszawy oświetliła jaskrawo i przerażająco ruiny trojańskie. Na zgliszczach stolicy straszy widmo Hekuby, wyjącej z bólu po stracie dzieci.

Wacław Kubacki

JÓZEF SŁOTWIŃSKI

Powitanie Ossolineum

We Wrocławiu, gdzie Ossolineum otrzymało nową siedzibę, odbył się zjazd pracowników i przyjaciół stuletniej biblioteki. Uzasadnioną radością napełniło zgromadzonych oświadczenie premiera, że biblioteka będzie miała nadal zapewnione istnienie jako całość.

Dr Franciszek Pajączkowski, kierownik starej biblioteki w nowych murach, w krótkim sprawozdaniu nakreślił obecny stan i potrzeby: na gwałt trzeba łatać dach, poprawiać stropy, ratować posadzkę. Po prelekcji oświadczył mi: „Przyjdź bracie, do nas jutro, do biblioteki — a zobaczysz!“

Wiele troski i niepokoju wyczytałem w niebieskich Franusiowych oczach, które znam od dwudziestu lat, kiedyśmy razem niemal (on trzy miesiące później) wstąpili jako stypendyści „do służby“ u „Lula“ Bernackiego, ówczesnego gromowładnego Pana Dyrektora na stolcu Bielowskiego, Szajnochy, Słotwińskiego i Kętrzyńskiego.

Wtedy od czasu do czasu oprowadzałem po bibliotece jakąś wycieczkę w zastępstwie dystyngowanej panny Krauzówny. Przewodniczyłem w wędrówce po wielkich, ciężko sklepionych salach pokarmelickiego klasztoru, po książnicach i piętrach pełnych gablotek ze „Słowackim“, „Żeromskim“ i „Rejem“, i po olbrzymich zbiorach czasopism, z których słynął Zakład.

Dzisiaj nam wypadło wędrować, niby wycieczka, po starym nadszczerbionym Wrocławiu, po mieście chlubiącym się pierwszą polską „Zdrowaśką“. Poszukiwaliśmy biblioteki, która osiadła przy starej wrocławskiej ulicy, u boku uniwersytetu.

Zakład otrzymał godne siebie pomieszczenie w gmachu świętego Macieja. Wita nas na progu dyrektor Franciszek.

Jeśli już tradycja bemowska każe, by ta biblioteka w grubych mieszkała murach, tradycji stało się zadość. Na pozór delikatna, barokowa budowla, ujmująca w malowniczy czworobok podwórzec ze stylową studnią, gdy w nią wstąpić, zmienia się w ciężkie, barczyste zamczysko. Po „ossolińsku“ poważne, o sklepionych sieniach, jakby stworzonych do ustawienia gablot.

Nie wiem, kto wybierał, ale wybór jest trafny i mądry.

— Tu popatrz — mówi Franio — będzie książnica! Co?

— Rzeczywiście, ile tu wejdzie?

— 150.000 tomów łatwo, można zresztą dać piętro...

— Rzeczywiście — ktoś bąknął — będzie książnica piękna, ale na razie... to...

— Tak — kończy Franuś — na razie to książnicy nie ma; trzeba ją zbudować i to prędko, bo książki leżą w pakach, poza małą garstką obecnie katalogowaną.

— A katalogów starych nie macie? — pyta jakiś profesor z Krakowa.

— Może przyjdą...

— A inwentarze?

— Mamy nadzieję, że przyjdą. Dla Lwowa są bezużyteczne.

Powinny przyjść z resztą książek i z mapami, których Ossolineum miało kilka tysięcy.

Idziemy na piętro. Długi korytarz urywa się pod gołym niebem. Wspaniała biała sala utraciła chyba pół sklepionego sufitu. Na parkietowej posadzce podmarznięta kałuża wody.

— Tu będzie pracownia naukowa. Świetna sala na to — tylko... ta dziura w suficie niweczy plan na razie.

— Słusznie — dodaje flegmatyczny kolega z Łodzi — z dziurą w suficie trudno pracować. Zwłaszcza w zimie...

— Niech się państwo nie martwią — dodaje rozogniony kustosz. To wszystko będzie zrobione, bo pieniądze są preliminowane i czekamy jedynie na rozpoczęcie robót. Żeby tylko pośpieszyć!

Za chwilę jesteśmy w jednej z dwu wyremontowanych sal. Pierwsze prowizorycznie skatalogowane „ossolianki“ leżą na drewnianych półkach. Ta sama sygnatura, którą — myśli niejeden z nas — może ja wybijałem kilkadziesiąt lat temu. Ta sama niepozorna, starodawna pieczęć.

Pamiętam, że wtedy pracowało się w małym pokoiku, oddzielonym od samego Bernackiego tylko żelaznymi drzwiami. Naprzeciw siedziała panna Zosia Gostomska, świeżo przybyła z Kanady, autorka ślicznej książki o Kanadyjskim Szlaku. Tam sygnowaliśmy książki, tam przybijaliśmy z furią małą pieczątkę, robiąc urzędowy hałas i zaznaczając „wagę czynności“. Nieraz urastało to „urzędowanie“ do takich rozmiarów, że za drewnianymi drzwiami siedzący, najukładniejszy z kustoszy i jeden z wielkich bibliografów, pan kustosz Wisłocki wychylał się z gabineciku i wyrozumiałym uśmiechem łagodził temperament stypendysty, któremu sam Bernacki rady dać nie mógł.

Było nam wtedy ciepło w Ossolineum, choć nie mieliśmy kaloryferów... W drugim odremontowanym pokoju jest bardzo zimno. Siedzi tu chyba z piętnaście osób. I pani Ewa, która prowadziła wpływy czasopism, i panna Stasia, jedna z najwytrwalszych bibliotekarek, która z Brazylii przyjechała dla starych druków i katalogu — i tylu nowych i starszych pracowników.

— W tych warunkach nie możecie pracować — mówi szef bibliotek z Warszawy, patrząc z niewiarą na mały elektryczny piecyk.

— Przeniesiemy się, czekamy tylko, kiedy zakłady uniwersyteckie, zajmujące jedno skrzydło naszego gmachu, przejdą do innego lokalu. Oni tam mają piece i komfort.

Zażarty naród ci bibliotekarze! Mało jest wspomnieć człowiekowi, że sam kiedyś, panie tego, próbował i zostawił za sobą... najbardziej nieczytelne kartki katalogowe — według opinii znakomitego kustosza i historyka śp. Kazimierza Tyszkowskiego. Myślę sobie skrycie, że może nawet lepiej, iż to paskudne documentum zostało we Lwowie... Ważniejsze, by powróciły mapy i czasopisma a katalog... niech zrobią nowy.

Chodzimy sobie po korytarzach i uśmiechamy się. Dobrze jest się spotkać ze starymi książkami. Wzajemnych zwierzeń nie mąci gadulstwo i nieporządek. Dobrze jest w nowym Ossolineum na ulicy Szewskiej pod numerem trzydziestym siódmym we Wrocławiu. Odnajdzie tam każdy gorącą cząstkę wielkich poświęceń garstki ludzi, którzy odeszli.

Tym, którzy opuścili nas dawniej, poświęcono wiele kart i wspomnień, trwalszych zapewne niż niejeden pomnik. Ale gdzież są ci, których znaliśmy osobiście, którzy nas kształtowali, byli przyjaciółmi, kolegami, przełożonymi?

Żegnaliśmy ich właściwie dopiero na Zjeździe we Wrocławiu. Przewodniczący Zjazdu, rektor Kulczyński, odczytał długą listę nazwisk, zbyt długą i bolesną jak na tych kilka lat: Ludwik Bernacki, Władysław Tadeusz Wisłocki, Kazimierz Tyszkowski, Tadeusz Lutman... Brak tych ludzi to największa i niezastąpiona strata tej wspaniałej biblioteki.

Dziś wyznaczono Zakładowi nową rolę na Zachodzie. Ma bowiem ta biblioteka w sobie coś więcej niż dostojność bogatego zbioru. Ma jakiś wewnętrzny imperatyw, którym zdobywa człowieka i zniewala go do nieustępliwej pracy i poświęcenia. Ma jakieś dotknięcie „szczęśliwej ręki“ przy jej narodzeniu, ręki, która prowadziła długi korowód wyjątkowych ludzi i pracowników, od niecodziennego w naszej historii arystokraty i fundatora, Józefa Maksymiliana, poprzez Szajnochę, Bielowskiego i Kętrzyńskiego — aż po Bernackiego, Tyszkowskiego i Wisłockiego.

Któż może się poszczycić takim zespołem?

Józef Słotwiński

ANNA POGONOWSKA

WIERSZYK

Malutki ptaszek lata —
Malutkie dziecko się toczy —
Ptaszku — strąć małe piórko —
Kruszynko — weź je do rączki

Wiatr schwycił obłok i trzyma
By cień padł luż przed lobą —
Nie pozwól, nie pozwól mu uciec —
Weź piórko — obrysuj obłok.

ZDOBYWANIE

Tylko niebo nachyla się nade mną

Tylko ziemia unosi moją głowę —

Zdobywam ciemność — najtrudniej — zdobywam ciemność.

Nawijam kir na serce jak wstążkę,

Pas po pasie zdzieram i naciągam.

I — rozwiążę — noc całą — rozwiążę.

TADEUSZ PEIPER

Jerzego Zawieyskiego „Rozdroże miłości"

I

Jest w tym utworze wątek erotyczny, który widzów teatralnych może pasjonować. Snuje się on wokół postaci Elżbiety, pięknej dziewczyny wiejskiej, która zniszczyła w swej wsi niejedno ognisko rodzinne, która rozkochanego w niej Andrzeja pchnęła do zabójstwa i samobójstwa, a którą teraz właśnie chciałby odzyskać jej dawny kochanek, architekt z miasta. W zbrodnię, która dokonała się przed początkiem dramatu, wprowadza nas autor, dawkując wiadomości o niej zaciekawiająco, z tego zaś, co na naszych oczach rozgrywa się między Elżbietą a jej dawnym kochankiem, umie wydobyć sytuacje przykuwające uwagę dramatycznością, nawet gdy jest ona tylko potencjonalna.

Zawodzi psychologia. Nie dlatego, żeby bieg rzeczy był nieprawdopodobny, lecz: nie jest psychologicznie opracowany. Wystarczy podsunąć pod oczy tak fundamentalną sprawę jak motyw zbrodni. Elżbieta nie pamięta jak to się stało, że podszepnęła Andrzejowi myśl zabicia wójta, nie pamięta tego jednego, tego jednego dotąd nie może zrozumieć, to — mówi — jakby nie ona podszepnęła, lecz ktoś za nią. Ostatecznie taki wypadek jest w życiu możliwy, lecz — aby był możliwy w dziele literackim — musi być wyprowadzony ze szczególnych rysów psychiki, i to bardzo dokładnie, bardzo przyczynowo, właśnie dlatego, że mieści w sobie przyczynę nierozeznaną. Zawieyski nie zatroskał się o to, jak gdyby unikając trudności. Zresztą utwór zyskałby znacznie, gdyby Elżbieta znała przyczyny swego zbrodniczego podszeptu, lecz w takim razie sama zbrodnia musiałaby być konkretniej podana, a konkretność — zdaje się — Zawieyskiego na razie nie pociąga.

II

Jest w utworze pasjonujący wątek moralny, który przedziera się poprzez problem winy i kary. Rozpatruje Zawieyski ten problem zarówno na przeżyciach winowajczyni, jak na stosunku otoczenia do niej, przy czym oba koła sprawy zazębia o siebie interesująco.

Elżbieta, która zatajała swój udział w zbrodni Andrzeja, i która w mieście dzięki duchowej pomocy księdza zerwała ze swym życiem poprzednim, wraca do swej wsi, aby winę swą wyznać i ponieść karę. Bo niekochany dawniej Andrzej, który z jej powodu zabił drugiego człowieka i samego siebie, teraz ukazuje się jej innym niż za życia, i w tej nowej postaci włada jej uczuciami, niemal jej miłością. Ten zmieniony w niej samej Andrzej, zmieniony niezwykłością swej śmierci, przypomina jej ciągle swe przerwane życie i za swą śmierć domaga się kary. Potrzeba kary istnieje więc w samej winowajczyni; potrzeba kary równej winie; potrzeba śmierci.

Otoczenie reaguje na jej winę dwojako. Jedno ze stanowisk reprezentuje ksiądz Anastazy, były kapłan wsi, który — choć zmarł — działa w dalszym ciągu ideami zaszczepionymi wiejskiej gromadzie i którego dodatkowo poznajemy jeszcze poprzez kapliczkę wznoszoną na jego cześć i poprzez pozostały po nim pamiętnik; ten to ksiądz Anastazy i wychowana przez niego wieś ustosunkowują się do Elżbiety z nieubłagana wrogością, kieruje nimi sprawiedliwość sroga, prześladująca zło bezlitosną karą i zawieszająca nad ludźmi obraz Boga okrutnego. Drugie stanowisko ma swego rzecznika w nowym duszpasterzu, księdzu Janie, który — w imię Boga miłującego — przebacza winę i daruje karę, jeśli winowajca okupił swój grzech życiem nowym; na drogę takiego okupienia stara się on skierować Elżbietę.

Ideowy dramat ks. Jana zależny jest w swym przebiegu od tego, czy winowajczyni zdoła przemienić się w nowego człowieka i czy ks. Anastazy, przemawiający ustami wiejskiej gromady, przyjmie tę przemianę w miejsce kary. Ksiądz Jan wierzy ciągle, że zmiany, jakie stopniowo zauważał w Elżbiecie, potwierdzają jego optymizm, lecz gdy Elżbieta, powziąwszy zamiar samobójstwa, zataja go i mówi o nowym życiu w sposób tak nieokreślony, że może wydawać się iż zanosi się u niej na nawrót do życia dawnego, kapłan Boga miłującego popada w ideowy kryzys, zaczyna wątpić w słuszność swych idei, zaczyna przechylać się na stronę swego antagonisty zza grobu, cytuje na pół aprobująco jego słowa o daremnym niszczeniu zła w ludzkich duszach, posuwa się nawet tak daleko, że bierze pod uwagę jego pamiętnikowe wyznanie o niewystarczalności Boskiej pomocy w walce ze złem. Zawisa nad zdarzeniami pesymizująca myśl, że ks. Anastazy entuzjazmował się niegdyś tymi samymi ideami co ks. Jan, lecz że musiał wyrzec się ich pod wpływem gorzkich doświadczeń i za cenę takiego właśnie wyrzeczenia się dał wsi ład zbiorowy. Dramat ks. Jana zdaje się kończyć ideową katastrofą.

Nagle zwrot. Nadchodzi wiadomość, która nadaje sprawie nowy wygląd. Elżbieta poniosła śmierć, ratując tonącą wdowę po Andrzeju, która była najbardziej namiętnym jej wrogiem, poniosła śmierć w okolicznościach, które wskazują na samobójstwo z potrzeby kary; taką śmiercią dowiodła, że dokonała się w niej przemiana moralna. Ale zmieniła się także wyratowana, dotąd nieubłagana przeciwniczka winowajczyni, bo Elżbietę, dla której domagała się najsroższej kary, nazywa teraz „siostrą Elżbietą". Oto końcowe dowody nietrwałości zła, możliwości uszlachetnień, słuszności idei ks. Jana.

Czy postawienie i rozwiązanie problemu jest oryginalne, ewentualnie w jakim stopniu, tym niech zajmą się inni, inni też niech zajmą się kwestią, czy jest słuszne. Ja, pozostając w granicach wrażeń teatralnych, pragnę zwrócić uwagę na świetność pomysłu, wyłaniającego ze siebie perypetie walki ideowej dwu kapłanów, z których jeden — zmarły — działa poprzez idee utrwalone przez niego w gromadzie, poprzez kapliczkę wznoszoną na jego cześć i poprzez zwierzenia kolejno odkrywane w jego zapiskach. Pragnę zwrócić uwagę także na świetność pomysłu, uzależniającego przebieg ideowego dramatu ks. Jana od przebiegu dramatu Elżbiety. Niestety świetne pomysły nie otrzymały godnej siebie realizacji. Nie dopisuje przede wszystkim ks. Jan. Nie ma on tego sprecyzowanego systemu myśli, jaki charakteryzuje księży inteligentnych, nie ześrodkowuje swych trosk umysłowych wokół zasadniczej sprawy dramatu, którą jest możliwość czy niemożliwość przemiany przestępcy, nie podchodzi dość blisko do ludzkich konkretności, nie uwzględnia życiowych szczegółów, jest zbyt ogólnikowy, i z tych powodów w starciach myślowych z ludźmi nie przekonywuje. A uzależnienie jego dramatu od dramatu Elżbiety — mimo interesujących zazębień — nie realizuje się dość przejrzyście i w umyśle widza teatralnego często nie osadza właściwego sensu wypowiedzi i faktów.

III

Znamiennie zaznacza się w utworze próba umiejscowienia źródeł zła, źródeł winy; ma nimi być... miasto, miejskość.

O Elżbiecie słyszymy, że siłą jej działania na mężczyzn była m. in. „cisza głębi i ład duchowy" pochodzące z jej bliskiego związku z przyrodą. Pomińmy określenia, niewłaściwe dla danego wypadku, zwróćmy uwagę na przyrodę i na jej związek z Elżbietą; autor stara się poddać nam myśl, że droga wiejskiej dziewczyny do zbrodni prowadziła poprzez zakłócenie owego związku. Jaśniej myśl tę lansuje w innym miejscu; jednemu z ludzi wsi każe mówić o Elżbiecie: „To dziewczyna niby stąd, a jakby nie stąd. Nie wiejska, chociaż w mieście tak długo nie była. Uczyła się tam..."; jest tu wskazywanie na wczesne zaznania miejskości jako pierwsze podłoże zbrodni. W późniejszych kolejach Elżbiety również mamy widzieć miejskość jako punkt zwrotny; słyszymy, że straciła swą ciszę i swój ład, że zaczęła się gubić, gdy miłość jej zdobył „ktoś z miasta" i gdy wciągnął ją w swe życie.

Takie umiejscowienie źródeł zła nie jest myślowo trafne. Artystycznie nietrafna jest jego ogólnikowość; można by wprowadzić w życie wiejskiej dziewczyny jakieś szczególne pierwiastki miasta i miejskości jako czynniki zakłócające ustalony układ psychiki, ale wymagałoby to ukonkretnień. Zawieyski unika ich.

IV

W ogóle:

„Rozdroże miłości" czyni wrażenie dobrze zbudowanego domu — z wnętrzami urządzonymi dorywczo.

Nowym utworem dowiódł Zawieyski, że ma poczucie natury dramatu, że ogólne linie snuje umiejętnie, że zręcznie układa sytuacje, z których zamierza wydobyć mocne efekty teatralne. Ale tym poczuciom, umiejętnościom, zręcznościom, z jakimi tworzone są dobre zarysy dramatu, nie towarzyszy cierpliwość potrzebna do wypełnienia zarysów równie dobrą zawartością. Są w utworze efekty teatralne zbyt zewnętrzne (błagalne rozkładanie na podłodze całego ciała i wywodząca się z teatralnej muzykomanii muzyka kościelna, mająca wzmocnić finał sam przez się mocny) ale najważniejsze: materiał życiowy jest za mało skonkretyzowany, ludzie za mało zawdzięczają obserwacji, a za wiele myślowym konstrukcjom, psychologiczna analiza próżnuje.

Nic dziwnego, że postacie „Rozdroża" nie mówią mową żywą. Ani jedna. Ksiądz Jan, najbardziej interesująca postać dramatu, powinien nie tylko mówić inaczej, ale w ogóle inaczej prowadzić dialog, powinien mieć w sobie coś z mędrca dociekającego istoty spraw, nadającego rozmowom z ludźmi bieg ściśle ukierunkowany; taki dialog — prócz prawdy psychologicznej — miałby jeszcze zaletę konstrukcyjności, pozwoliłby uporządkowywać wnętrza zarysów, nadawałby przejrzystość dramatowi, który jest jej wart.

V

Poprzez nieprawdziwą mowę tekstu nie przeciskają się dobre możliwości aktorów. Pp. Hańcza, Kordowski, Bednarska, którzy ujmują widza poczuciem stylu, i tak naturalny p. Burnatowicz, mijają się często z postaciami „Rozdroża" dlatego, że wypowiedzi, jakie włożył im w usta autor, nie dają się wygrać. Nadto zmylił ich jeszcze — zdaje się — reżyser, p. Zawistowski, który w drugiej połowie przedstawienia tłumi przeżycia ludzi, przycisza je, przenosi na wewnątrz, przegłębia, — niezgodnie z tekstem, wzmacniający a nasilenie konfliktów w miarę rozwijania się dramatu. Odnosi się wrażenie, że tylko p. Bednarska oparła się reżyserowi i na własną rękę rozwija swą rolę; stopniuje ją znakomicie.

„Oprawa malarska" p. Kasaraba jest w partii ogrodowej za bardzo „malarska", w partii głównej za bardzo introligatorska.

Tadeusz Peiper

PRZYDZIAŁY

Często czytam narzekania publicystów na techniczną stronę przydziałów np. na ogonki przy sklepach tekstylnych. Nie mają racji. Ogonki to jeszcze nie jest rzecz najgorsza. O wiele gorzej, kiedy przy punktach rozdzielczych nie widać kolejek, bo to znaczy, że w sklepie nie ma towaru. Magazyn, do którego mnie przypisano, należy do tych niezauważonych przez dziennikarzy kramów, ponieważ nie wystają przed nim ludzie od świtu do nocy.

Ile razy tam zajdę, każe mi uprzejma sprzedawczyni przyjść we wtorek, a jak zjawię się we wtorek, mówi, że spodziewa się materiałów we czwartek. Tydzień ma sześć dni roboczych. Mimo to właścicielka doskonale daje sobie radę z tym dwudniowym tygodniem. Mniej więcej od trzech miesięcy wędruję do sklepu przydziałowego już nie po materiał, lecz po prostu z ciekawości, czy będą próbowali wykręcić się jakimś innym dniem. Jak dotąd nie udało mi się przyłapać sprzedawczyni na jakiejkolwiek próbie urozmaicenia. Już sobie zebrałem trochę spostrzeżeń psychologicznych i dużo punktów odzieżowych. Mówiąc po sportowemu, zostałem już przez państwo bardzo wysoko „wypunktowany".

Nieraz się zastanawiam, dlaczego wszystkie upaństwowione przędzalnie i tkalnie nie mogą obsłużyć dwudziestu paru sklepów przydziałowych w Poznaniu, a natomiast nie sprawia im żadnej trudności zaopatrzenie w tym samym mieście kilkuset sklepów prywatnych, gdzie się sprzedaje po cenach komercyjnych, czyli mówiąc zrozumiale, drogo. Dziś gdyby jakiś Bolesław Chrobry zechciał przyjmować jakiegoś cesarza, to kocami i spodniami z punktów rozdzielczych można by wymościć zaledwie kilka kilometrów drogi, a resztę do samej granicy to już chyba niezrealizowanymi kartkami odzieżowymi. Byłaby to pewna oszczędność i wreszcie karty odzieżowe na coś by się przydały.

Pewne refleksje budzi także we mnie jakość i rodzaj przydziałów. Mąki przydziałowej żaden piekarz nie chce przyjąć. Kasza jest bardzo oścista. Cukier zawsze mokry, żeby więcej ważył, a jak raz, w roku zeszłym, dostaliśmy sardynki, to były idealnie suche, czyli wyschłe na wiór. Niedawno na kartkę dziecinną dostała moja córka puszkę tak ostrego sera, że tata musiał go zjeść pod wódeczkę. Obecnie oczekuję, że na kartę dla dorosłych dostanę lalkę, bąka, piłkę, albo hulajnogę i będę mógł się zrewanżować poszkodowanemu członkowi rodziny.

Pracownicy Uniwersytetu Poznańskiego dostają od czasu do czasu po parę litrów nafty — na podsycenie „kaganka oświaty". Ponieważ nie mam ani flaszek, ani baniek, ani pieniędzy na wydzierżawienie jakiejś nieczynnej stacji benzynowej, więc oddaję tę naftę woźnym. Obliczyłem, że mógłbym mieć już w zapasie dobrą beczkę nafty. Nie mogę dociec, po co my w mieście, które posiada elektrownię i gazownię, otrzymujemy naftę. Za tą naftą woźni się rozbijają, czyli że jest ona istotnie komuś potrzebna. Prawdopodobnie nie brak wiosek, których jeszcze nie zdążyliśmy zelektryfikować. Gdyby jednak profesorowie uniwersytetu zaczęli jeździć po wsiach z bańkami nafty w celu wymiany na kartofle i kapustę, to ktoś musiałby zastąpić ich w obowiązkach naukowych. Może panowie referenci, którzy wymyślili taki piękny i pożyteczny dla nauki przydział? Nie dałbym głowy za to, że na wieś, potrzebującą nafty, ci sami referenci pchają kuchenki gazowe albo elektryczne żelazka do prasowania.

Pytałem kogoś wtajemniczonego o tę naftę. Dowiedziałem się, że nafta jest produktem ubocznym, odpadkiem i że kupując benzynę musimy brać także naftę. „No więc co państwo ma z tą naftą robić, przecież jej nie wypije? — zapytał się z wątpliwą emfazą mój informator. — Dzieli się nią z obywatelami, którzy są w pewnym sensie akcjonariuszami państwa". Nie bardzo mi to przypadło do przekonania. Nafta jako dywidenda? Jeśli mam brać udział w zyskach i stratach, to czemu państwo zamiast nafty nie przydziela np. śmietany? Przecież oprócz rafinerii ma także obory i mleczarnie!

Rozmowa z ekonomistą miała straszne następstwa w nocy. Śniło mi się, że dostałem „na przydział" wagon muchołapek i nie wiedziałem, co z tym fantem zrobić, bo wszyscy dostali to samo, a była właśnie zima i muchy na lekarstwo nie można było schwytać. W następnym miesiącu państwo dało swym udziałowcom po milionie pluskiewek i po dwieście tysięcy spinaczy z obowiązkiem, żeby każdy sam sobie odliczył w magazynie w ciągu pięciu minut (za nieodebranie groziła utrata karty żywnościowej). Jeszcze nie przestałem się martwić, gdy ukazało się ogłoszenie, że wskutek poprawy gospodarczej państwo postanowiło każdemu obywatelowi dać z niesprzedażnej nadwyżki produkcyjnej po jednym elewatorze zbożowym. To był naprawdę koszmar. Obudziwszy się dziękowałem niebu, że jesteśmy dopiero na progu odbudowy gospodarczej.

Co do mnie, to przyznam się, że zamiast dwóch litrów nafty wolałbym skromnie co miesiąc kałamarz atramentu do wiecznego pióra, albo ryzę papieru. Moglibyśmy też dostawać na przydział książki. Jeśli ten projekt przypadnie do gustu jakiemuś wysokiemu referentowi od przydziałów duchowych, to niech uważa, żeby go nie spaczyć w wykonaniu. Sądzę, że na kartki dziecinne lepiej byłoby nie przydzielać „Historii filozofii" Tatarkiewicza ani rozprawy Lenina „Dziecięca choroba „lewicowości" w komunizmie". Nie warto popierać wydawcy Brzechwy — igła z nitką z nim tańcowała! — na gwiazdkę tedy malcom dałbym po egzemplarzu „Mitologii i realizmu" (wyd. „Czytelnik"). Niech z trudnościami uczą łamać się za młodu! Posiadaczom zaś kart I kategorii można przydzielić — „Stracone złudzenia" Balzaka (wyd. „Książka").

Wacław Kubacki

TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

LITERATURA PIĘKNA

Biblioteczka Młodego Czytelnika. 7. Wanda Wasilewska. Skrzydła u ramion. Opowiadanie. (Kraków), „Czytelnik", 1946; str. 34 i 2 nl. — 30 zł.

Elsa Triolet. Personne ne m'aime. Roman. Paris, La Bibliothèque Française, 1946; str. 252 i 2 nl.

P. Vaillant-Couturier. Enfance. Souvenirs d'enfance et de jeunesse. Préface d'Aragon. Paris, Editions Hier et Aujourd'hui, 1946; str. XI i 257 i 5 nl.

DZIEJE LITERATURY

Polska Akademia Umiejętności. Archiwum Filologiczne. Nr 18. **Stanisław Skimina.** Harmonia między formą rytmiczną a treścią w pieśniach Horacjusza Kraków, Polska Akademia Umiejętności, 1946; str. 2 nl. i 17 i 1 nl. — 63 zł. — Nr 19. **Jerzy Schnayder.** Periegeza w literaturze greckiej. Powstanie i rozwój gatunku. Tamże; str. 2 nl. i 17 i 1 nl. — 90 zł.

Biblioteka Uniwersytetów Robotniczych Ignacy Fik. Rodowód społeczny literatury polskiej. Wydanie drugie. Kraków, Spółdzielnia Księgarska „Czytelnik", 1946; str. 4 nl. i 119 i 5 nl. — 100 zł.

Les jeunes humanistes. L'humanisme du XX-ème siècle. Par André Ulmann. Paris, Editions à l'enfant poète, 1946; str. 199 i 1 nl. i 1 litografia. — 135 zł.

MONOGRAFIE

Vie des Hommes Illustres. Romain Rolland. Vie de Beethoven. Vingt-deuxième édition. Paris, Librairie Hachette, 1946; str. VIII i 151 i 1 nl. — **Romain Rolland.** Vie de Michel-Ange. Avec un portrait. Dix-huitième édition. Tamże; str. 211 i 1 nl. **Romain Rolland.** Vie de Tolstoi. Quinzième édition. Tamże; str. 10 nl. i 241 i 5 nl.

Socialisme et Culture. Jean Luc. Diderot. L'artiste et le philosophe. Paris, Editions Sociales Internationales, 1938; str. 329 i 3 nl. — 250 zł.

NAUKI SPOŁECZNE

Biblioteka Autorów Francuskich. 1. Jean Jacques Rousseau. Opracował **Feliks Jungman.** Warszawa, Trzaska, Evert, Michalski, 1946; str. 84 i 4 nl. — 160 zł

PROZA DOKUMENTARNA

Nr 28. Ruch podziemny w ghettach i obozach (Materiały i dokumenty). Opracowała Betti Ajzenstajn. Wstępem poprzedził **Michał M. Borwicz.** Warszawa, Centralna Żydowska Komisja Historyczna, 1946; str. XXIV i 213 i 3 nl.

MEDYCYNA

Włodzimierz Kuryłowicz. Penicylina. Wydanie drugie rozszerzone i uzupełnione. Wrocław, „Książnica-Atlas", 1946; str. 160. — 200 zł.

PLASTYKA

Druga teka miast pomorskich. Wielkie Pomorze. 6 autoofsetów w 3 kolorach Stanisława Brzęczkowskiego. Szczecin, Kołobrzeg, Sławno, Gdańsk, Malborg, Kwidzyń. Bydgoszcz, Drukarnia Polska PZP, 1946; 6 tablic nl.

MONOGRAFIE

Dr. Witold Jakóbczyk. Doktór Marcin. Jan Karol Marcinkowski. 1800—1846. Poznań, Wydawnictwo Zachodnie, 1946; str. 8 nl i 195 i 1 nl i 1 portret.

Biblioteka Popularno-Naukowa. 6. Włodzimierz Komarow. Lamarck. Przekład **W. Michajłowa i M. Siuchnińskiego.** (Warszawa), „Książka", 1946; str. 248 i 4 nl. — 140 zł.

„DEBELLATIO" CZY „OCCUPATIO BELLICA" W G. G.

Niemcy na wiele lat przed wojną zaczęli systematycznie łamać prawo międzynarodowe, przygotowując sobie niejako grunt do zupełnego przekreślenia go w czasie wojny. Po zajęciu krajów Europy przestali uznawać IV Konwencję Haską za obowiązującą. Szczególnie okupacja Polski była jednym wielkim bezprawiem. Jak się do tej rzeczywistości odnosiła nauka prawa w Niemczech? Odpowiada na to świeżo wydana książka Alfonsa Klafkowskiego: „Okupacja niemiecka w Polsce w świetle prawa narodów".

Już w 1920 roku w deklaracji programowej NSDAP zażądała „zastąpienia prawa rzymskiego, służącego interesom materialistycznego ładu świata, przez niemieckie prawo powszechne". Wysiłek prawników niemieckich starał się od tej chwili zatrzeć linię podziału, rozgraniczającą prawo międzynarodowe od polityki międzynarodowej. Aby przeprowadzić swoje teorie, prawnicy niemieccy musieli się rozprawić z 4-tym artykułem konstytucji weimarskiej, który był o tyle nieostrożny, że „uznawał reguły prawa międzynarodowego za wiążące dla prawa niemieckiego". Rozpoczęła się więc nagonka na ów artykuł, jak i na całą konstytucję weimarską.

Teraz można już było, tak sądzili prawnicy niemieccy, zupełnie dowolnie interpretować prawo. Wysunęli więc nowe koncepcje prawa międzynarodowego i uważali, iż należy wprowadzić je siłą, gdyby próbowano im się przeciwstawiać. Podstawą tego nowego międzynarodowego ładu były oczywiście polityczne interesy Rzeszy.

Jak wyglądały stosunki prawne w tzw. Generalnym Gubernatorstwie? Ustawodawstwo niemieckie poszło w kierunku zestrojenia tego terytorium z wewnętrznym ustawodawstwem Rzeszy. Norwegię, Holandię, Belgię i Francję traktowali Niemcy jako kraje okupowane, stosując tam zasady konwencji haskiej. Jedynie w wypadku Polski zasadę „occupatio bellica" zupełnie przekreślili, mimo że Polska nie straciła nigdy charakteru kraju okupowanego, mimo że istniała ciągłość zwierzchniej władzy Rzeczypospolitej i Polacy walczyli nadal przeciw Niemcom na różnych terenach Europy. Inne państwa nie przestały uważać Polski za państwo samodzielne, chwilowo znajdujące się pod okupacją i prowadzące nadal wojnę.

Prawnicy niemieccy wysilali się przez cały czas okupacji, by zbić tezę o „occupatio bellica", jaka winna była istnieć, z punktu widzenia prawnego, na terenie tzw. „Generalnego Gubernatorstwa", broniąc zacięcie tezy o stanie „debellatio", w jakim rzekomo Polska się znalazła. Termin ten oznacza ostateczne przesądzenie losów danego państwa. Zdaniem prof. Juliana Makowskiego „debellatio" daje zwycięzcy prawo do terytorium państwa pokonanego, gdy się okaże, iż przyłączenie ma charakter stały. Autor omawianej książki, Klafkowski, wykazuje szczegółowo, na podstawie różnych publikacji niemieckich z tego zakresu, jak Niemcy starali się przekonać świat, a przede wszystkim Polaków, że sprawa ich jest przesądzona, a podbicie ostateczne. W tym celu wykreślono z języka urzędowego pojęcie „polskość", „Polacy", zastąpiono prawo polskie nowymi ustawami i przeprowadzono wiele innych pociągnięć propagandowych. Niemiecka nauka prawa czyniła wszelkie wysiłki, by uzasadnić, że bezprawie, jakiego dokonuje się codziennie na terenie G. G., jest „prawnie" dokonywane, gdyż zaistniał stan „debellatio".

Pierwszym, który wysunął tezę o „debellatio" był dr Albert Web, „Leiter des Amtes für Gesetzgebung in der Regierung des Generalgouvernements". Napisał on kilka rozpraw na temat „debellatio". Drugi stronnik tej tezy, Klein, wyszedł z założenia, że wskutek „debellatio" działania wojenne między Rzeszą a Polską we wrześniu 1939 ustały bez potrzeby zawarcia formalnego układu pokojowego.

Wypadki przekonały dopiero Niemców, że zdobycze ich są niepewne, dopóki trwa wojna. Książka omawiana wykazuje, do jakiego stopnia nauka prawa w Niemczech służyła hitleryzmowi.

Stanisław Peters

Powieść o bursztynowej panience

Deotyma (Jadwiga Łuszczewska). Panienka z okienka. Starodawny romansik. Wyd. piąte. Warszawa, Trzaska, Evert i Michalski, 1946; str. 238 i 2 nl.

Ktokolwiek badał dzieje salonów literackich u schyłku XIX wieku, musiał się zetknąć z niezwykłym zjawiskiem, za jakie uchodziła w kołach parnasistów warszawskich Deotyma (Jadwiga Łuszczewska), kobieta o nieprzeciętnej erudycji i talencie improwizatorskim. Na zebraniach, które odbywały się w pięknym buduarze Deotymy, urządzonym w stylu mauretańskim, odczytywano kunsztowne strofy „Wandy" i „Sobieskiego pod Wiedniem", lub omawiano z przejęciem fascynującą powieść „Zwierciadlana zagadka", której tematem były dociekania uczonego nad odbiciem w lustrze. Nietrwałą i nienajlepszego gatunku okazała się owa sława Deotymy, podważana już za jej życia przez trzeźwo myślących pozytywistów, od których stroniła duchowa arystokratka, zamknięta w kręgu swej zimnej i wytwornej sztuki. Lecz dziwna rzecz, chociaż wkrótce zapomniano i o jej salonie i o cyklu poematów „Polska w pieśni", o tych utworach powstałych z górnych zamierzeń, ocalał mały, błahy okruch jej talentu, dziełko, do którego sama prawdopodobnie niewielką przywiązywała wagę, jeśli zaopatrzyła je pół-żartobliwym podtytułem „starodawny romansik"...

Dziełkiem tym jest „Panienka z okienka", czytana od dwóch pokoleń z niesłabnącym zainteresowaniem, zwłaszcza przez młodocianych czytelników.

Czym wytłumaczyć poczytność „Panienki z okienka" i jaki jest nasz stosunek do tej powieści dzisiaj, gdy na półkach księgarskich ukazało się jej piąte wydanie?

„Panienka z okienka" nie jest powieścią historyczną w ścisłym znaczeniu tego słowa. Co prawda miejsce i teren akcji są wyraźnie oznaczone, lecz autorka nie dotyka niemal wcale spraw politycznych i społecznych, nie kusi się o odtworzenie wypadków ogólnej natury. Intencje jej były zupełnie inne — pragnęła stworzyć obrazek obyczajowy, urozmaicony konwencjonalną fabułą romansowej powiastki. O tego rodzaju zamierzeniach mówią choćby przypisy autorki, obciążające tekst dziełka obszernymi odnośnikami. Przypisy te świadczą o wyczerpujących studiach, jakie przeprowadziła autorka zwłaszcza w dziedzinie strojów, zastawy stołowej i urządzeń domowych siedemnastowiecznego Gdańska. Tych właśnie obyczajowych szczegółów poszukiwała Deotyma skrupulatnie w Encyklopedii Orgelbranda oraz w innych źródłach np. u Antoniego Müllera (Ubiory gdańskie, 1601), Racineta (Le costume historique), Święckiego (Opis starożytnej Polski), Gołębiowskiego (Ubiory w Polsce). Już same tytuły wskazują, że autorka najwięcej uwagi poświęciła ówczesnym strojom, które w istocie jawią się na kartach „Panienki z okienka" w tak szerokiej skali i z tak precyzyjną odtworzone dokładnością, że na czytelniku, niezainteresowanym przede wszystkim fabułą, powieść sprawia wrażenie — przeglądu siedemnastowiecznych mód! Barwna to i urozmaicona rewia. Oto wspaniały strój panny młodej z biało-płowej „pawłoki", wyłaniający się spod purpurowego płaszcza, dalej codzienna, sztywna suknia z odętymi rękawami i sztywną kryzą dookoła szyi oraz domowa miękka szatka, która pomaga bohaterce „jak przez kluczkę sieciową" prześliznąć się przez okienko; nie brak sukni żałobnej, przybranej trupimi główkami z kości, ani nawet niemowlęcej błękitnej sukienki ze złotą forbotką. Są także ubiory męskie: codzienny strój kawalera marynarki puckiej, i świąteczny z atłasowym „szustokorem" i krótkim deliunakiem podszytym białą sateniszką, i strój francuski, i holenderski ubiór braci Spiryngów z Królewskiej Komisji Morskiej i wiele, wiele innych. Uderza zadziwiająca rozmaitość drobiazgów, ozdób, owe kapelusiki, „cadanetty", krezy, pourpointy, owe wspaniałe materie o egzotycznych nazwach: koftyr, szarszedron, niesokar, bomzyn, forsztat, kamcha... Dużo miejsca poświęca także autorka ówczesnym tańcom — jak gallarda, giga, sarabanda oraz staroświeckim sprzętom i naczyniom — a także cackom z bursztynu, wyrabianym w pracowni bogatego kupca.

Te drobiazgowe obserwacje obyczajowe absorbują autorkę niemal całkowicie, korzysta z każdego pretekstu, nie wykluczając nawet momentów dużego napięcia, by podkreślić jakiś istotny w dziedzinie stroju czy urządzenia domu szczegół. Na tym tle romansowa fabuła zarysowuje się jak szablonowy schemat: miłość młodych, od pierwszego wejrzenia, stary opiekun zabiegający o względy swej pupilki, romantyczne porwanie „bursztynowej panienki" i wreszcie, po licznych dalszych perypetiach, szczęście zakochanych — spotęgowane odnalezieniem się — według wzoru „Wiesława", zaginionych w czasie napadu Tatarów dziewcząt...

Ten awanturniczy wątek w połączeniu z jaskrawym realizmem szczegółów obyczajowych sprawia, że „Panienkę z okienka" czyta się jak bajkę i to bajkę o charakterze niemal egzotycznym. Do wyobraźni autorki nie przemawia bowiem to, co zwyczajne i przeciętne, lecz to, co uderza oryginalnością. Nawet swojskie życie szlacheckiego dworku, dalekie u niej od sarmackiej, nieco rubasznej prostoty, przybiera pozór jakiegoś cudzoziemskiego środowiska. Mieszanina typów ludzkich ze wszystkich stron świata na terenie Gdańska podkreśla kosmopolityczny charakter opowieści. Autorka nie stara się o psychologiczne pogłębienie postaci, nie wykracza poza szablony „ognistego kawalera", anielskiej panny, opiekuna-tyrana i sprytnej wdówki. Nie troszczy się o konstrukcję powieściową, przeplatając długie dydaktyczne opisy fragmentami mknącej szybko akcji. Wszystko to sprawia, że, mimo tak starannych studiów obyczajowych, powieść tę należy traktować niemal jak fantastyczną historię. To barokowe, wyszukane cacko, ten lśniący powierzchownym połyskiem klejnocik ma swój bezpretensjonalny wdzięk dlatego właśnie, że nie pragnie uchodzić za brylant czystej wody. Autorka wybiera z epoki to tylko, co pomaga jej stworzyć obraz żywy, barwny, oryginalny i — niekoniecznie prawdziwy.

„Panienka z okienka", zespalająca w sobie momenty dydaktyczne i baśniowe, posiada jako literatura dla dorastającej młodzieży — pewne wartości. Zaznajamia, choć powierzchownie — z atmosferą ówczesnego Gdańska, z rolą żywiołu polskiego w tym ruchliwym, buntowniczym mieście, z przepychem i bogactwem kupieckiego życia. Romansowa fabuła sprawia, że wszystkie te realia były przez długi czas przyjmowane gładko przez młodocianych czytelników. Momentem nieobojętnym dla poczytności „Panienki z okienka" wśród młodych był także fakt, że nie była ona dla nich pisana z zamiarem dydaktycznym. Dzisiaj „starodawny romansik" trąci już nieco myszką i wydaje się młodzieży nieco nudny, lecz znajdzie na pewno amatorów, a zwłaszcza amatorki zdolne odczuć jego nieco kapryśny wdzięk. W każdym razie „Panienka z okienka" przeżyła o dziesiątki lat moralne „powieści dla dorastających panienek" i nieprędko jeszcze spocznie w lamusie; zasługuje zaś na to z jednego choćby ważkiego powodu: jest nim piękna polszczyzna udatnie archaizowana, płynna i bogata. Z tej racji warto było po raz piąty przypomnieć Deotymę jako autorkę — zapomnijmy o błękitnych, złoconych tomach „Wandy" i innych poetyckich elaboratach, do których nikt nie zajrzy — unius libri.

Krystyna Kuliczkowska

Sprawozdanie z dziwnej przygody w Ravensbrück

Wanda Dobaczewska. Kobiety z Ravensbrück. „Czytelnik", 1946; str. 168 i 4 nl.

PIERWSZE NIESZCZĘŚLIWE POSUNIĘCIA

Zaczynając od skojarzenia nazwy „Ravensbrück" z krzykiem kruka, przechodzi autorka do topografii obozu. Nie daje nic, co by odbiegało od innych tego rodzaju opisów, ale dostarczenie tych informacyj jest samo przez się zrozumiałe. Jednak w połowie pierwszego rozdziału jesteśmy nieco zaskoczeni. Oto bowiem, zaznajamiając z topografią i regulaminem obozu, Dobaczewska za jednym zamachem chce nas zapoznać z... przeobrażeniem wewnętrznym, dokonującym się w duszach więźniarek pod wpływem sadyzmu władz obozowych. „Przepadło bez śladu pojęcie nietykalnej godności ludzkiej, ludzie stawali się gromadą zwierząt rozwścieczonych i drżących przed batem" (s. 17). I nic poza tym jednym zdaniem. Tak nie w porę porusza autorka ten najważniejszy bodaj z „problemów obozowych". Porusza — i zresztą w dalszym ciągu książki... zapomina rozwinąć.

W związku z pierwszym rozdziałem pragnę omówić jeszcze inną sprawę. Chodzi mi o niewłaściwe nastawienie czytelnika do dalszych rozdziałów książki, wynikające z zaprawienia pierwszych stron książki tzw. wisielczym humorem. Nazwanie jednej z ulic obozowych „Aleją Wesołej Weszki" a klozetu obozowego „Kinem Ulga", następnie: uczesania „auf zierek"-Niemek — uczesaniem „a la Walkiria", oględzin ciała i ubioru — „Tańcem motyli", czy surowej brukwi „ravensbrückim ananasem" — to wszystko daje dużo do myślenia i stanowić winno dla autorki materiał do podstawowych psychologicznych rozmyślań. Są to bowiem symbole drwiny i kpin istot zaszczutych, ludzi pozbawionych jutra i normalnego życia, i umiejętne ich przemyślenie mogłoby w rezultacie dać jeden z bardziej tragicznych fragmentów książki.

Jakie tymczasem wrażenie odnosi czytelnik? Wrażenie wspomnień skłonnej do psot pensjonarki, która wróciła z dziwacznego, nieudałego week-endu. Nawet tragiczny w sensie epitet „dziewczynki z ochronki" (tytuł II rozdziału) nie robi na nas wrażenia.

I z tym nastawieniem przerzucamy dalsze karty książki Dobaczewskiej.

CZY SOLIDARNOŚĆ?

W dalszych rozdziałach prawi nam Dobaczewska o tym, jak to wiele sobie nawzajem wybaczano, ale jak piętnowano kradzież chleba, uchodzącą za największe w obozie przestępstwo. Jak wieczorami wpatrywano się w bliskie sercu gwiazdy („te same świecą przecież nad naszą ojczyzną!"), jak zapamiętale rozmawiano o wymyślnych potrawach, nawet na apelu (sic!), komunikując sobie ustnie luksusowe przepisy itd. — Dobaczewska postępuje tutaj jak Pan Jowialski: — Znacie tę bajeczkę? — Znamy. — No to posłuchajcie... Tylko, że to nie są bajeczki. Tak przez osiemdziesiąt chyba stron opowiada nam o rzeczach znanych, nie dając odbiorcy, w miarę oczytanemu w literaturze obozowej, dosłownie nic nowego.

NIC NOWEGO ALBO W OGÓLE NIC

Jak delektowanie się rozmowami o przysmakach, tak i nierozumne gonienie za wymyślnie skrojonymi, kolorowymi szmatkami czy kupowanie w kantynie ravensbrückiego obozu pudrów i szminek, których używać nie wolno, można wytłumaczyć jako pogoń za złudzeniami wolności. Zjawiska tego typu istniały w wielu obozach, były też i w Ravensbrück.

Jeśli chodzi o inne złudzenia, tym razem już samej autorki, to chcę tu wspomnieć o jednym. Otóż na którejś stronie Dobaczewska mówi o wyjątkowej solidarności Polek w obozie. Podkreśla ten fakt dość mocno. W tej solidarności widzi ekwiwalent za upodlenie własne i towarzyszek. Wierzymy jej, iż tak było istotnie. Ale oto na stronie 116, gdy mowa o blokowych i sztubowych Polkach, czytamy: „Ileż to razy chore, w gorączce błagały na próżno o wpuszczenie do sypialni lub o pozwolenie na wejście w drewniakach do izby, gdzie świeżo wyszorowana podłoga przesiąknięta była wilgocią! Ileż to razy rekonwalescentki po ciężkiej chorobie, lub nawet po operacji, musiały iść przedwcześnie do pracy, bo tak się podobało pani sztubowej!" — Autorka tłumaczy ten fakt przysłowiowym uderzaniem władzy do głowy. Myślę, że powód był o wiele głębszy, a należało go szukać na drodze bardziej wnikliwej analizy duszy tej czy innej więźniarki. Tymczasem zaś rozwiało się złudzenie solidarności, które chciała mieć Dobaczewska.

MARNOTRAWSTWO MATERIAŁU

Nie wiadomo dlaczego autorka nie pokusiła się o bliższe rozwinięcie sprawy ravensbrückich „królików". Jeśli nie chciała nas zbliżyć do którejś z tych tragicznych postaci, mogła przynajmniej nas o nich wyczerpująco poinformować. W książce nie ma ani jednego, ani drugiego.

O „królikach" wspomina dopiero autorka przy końcu książki, na dwóch zaledwie stronach, nadmieniając tylko, że mieszkanki obozu okazywały im szczególny szacunek i współczucie. Nam wydać się może dziwne, iż obóz, w którym działała podziemna organizacja, nie wiedział, jakiego rodzaju eksperymentów dokonywano na nich. (Bo tak się autorka tłumaczy).

Gdy mowa o marnotrawstwie tematów i problemów, wspomnieć należy jeszcze o tragicznej gromadce dzieci i niemowlętach w obozie. O tych pierwszych mówi tylko Dobaczewska: nosiły także porządkowe numery i musiały stawać na wielogodzinnych apelach, pootulane w fantastyczne szmaty, niczego nie rozumiejąc; pozbawione opieki pracujących matek demoralizowały się. „Dokuczały półobłąkanym i melancholicznym, używały ohydnych słów i przedrzeźniały bezwstydne gesty Niemek uprawiających lesbijską miłość".

Fakty wstrząsające. Znowu musimy sobie ten problem rozwinąć poza utworem, a autorka omija okazję stworzenia najtragiczniejszych może stronic dokumentarnej książki.

OSTATNIE STWIERDZENIA

Gdzie przyczyna zjawiska, o którym mówiłem? Brak talentu pisarskiego, czy po prostu pośpiech? Myślę, że to drugie. Dobaczewska zdawała sobie sprawę z obfitości materiału, jaki miała nam podać, a ponieważ źle sobie rozplanowała pracę (liczne powtórzenia, np. o bunkrze, o zmianach regulaminu obozowego itp.), niedociągnięcia były więc nieuniknione. I to poważne. Jaskrawym przykładem pośpiechu jest moment, gdy autorka zapowiada, iż musi odbiec od tematu (w rozdziale „Narastający bałagan") i powiedzieć coś o poezji lagrowej, by następnie sprawę tej poezji wyczerpać... w czterech zdaniach.

Takie odbieganie od tematu powtarza się kilkakrotnie, czasem nawet tylko po to, byśmy posłyszeli o rzeczach nic z obozem nie mających wspólnego (np. o sabotażach w fabrykach zbrojeniowych). Dobaczewska wspomni np. o tym, że w którymś tam okresie Ravensbrücku głodu nie było zupełnie i regulamin prawie że nie obowiązywał, że był czas na plotki i spacery, ale w pośpiechu zapomina nieraz potem przedstawić tę odwrotną, tragiczną stronę medalu.

Wygląda to na paradoks, ale niektóre strony książki dają nam obraz niemalże sielanki, której tylko tło i dekoracja są ponure. Jakaś dziwna, niezwykła wycieczka — a nie piekło obozu.

Dobaczewska nie wymienia nazwisk, bo to „nie powinno mieć miejsca w opowiadaniu, przeniknięty stanem emocjonalnym opowiadającego" (str. 115). Powiedzmy raczej: w opowiadaniu, które miało być przeniknięte stanem emocjonalnym autora, bowiem z racji pośpiechu, braku psychologicznego pogłębienia i pominięcia problemów zasadniczych na rzecz drobnych — otrzymaliśmy suche, bezbarwne sprawozdanie z dziwnej przygody w Ravensbrück (sic!).

Jerzy Kram

WŚRÓD KSIĄŻEK

M. Czerwiński i K. Pasałowski. Warszawa bohaterska. 1939—1945. Antologia poezji i prozy. Łódź, „Poligrafika", 1946; str. 192.

Ujmująca jest szata zewnętrzna tej antologii. Ładny format, dobry papier, efektowna okładka, rysunki w tekście, staranny układ graficzny. Nieporadni okazali się tylko wydawcy w samym układzie treści. Podali osiemdziesiąt kilka pozycyj, pięćdziesięciu kilku autorów, przeważnie wierszem, bo cztery tylko razy proza doszła do głosu. Zamiast jednak zgrupować fragmenty chronologicznie, albo według pewnych zdarzeń, odnoszących się do podanych w nagłówku dat, pomieszali wiersze współczesnych pisarzy z utworami Konopnickiej, Norwida, Oppmana, Słowackiego, Rostworowskiego i Zrębowicza. Stąd bałamuctwa, jakoby ci pisarze mogli wypowiadać się na temat minionej wojny i stąd pretensje, że uwzględniając wbrew datom i starszych pisarzy, którzy napisali coś ciekawego o Warszawie, nie wolno było pominąć również Mickiewicza, Prusa, Gomulickiego i tylu innych. Wskutek tej dowolności w wyborze utworów dostaliśmy antologię interesującą, ale ułożoną kapryśnie i dyletancko. A szkoda. Można było albo ograniczyć się do dat, albo, przedstawiając bohaterstwo Warszawy w dłuższym okresie czasu, wprowadzić do antologii jakiś rozsądny ład. W nowym wydaniu ta omyłka jest do naprawienia. Układ alfabetyczny w antologii jest najłatwiejszy, ale nie najlepszy.

Mieczysław Smolarski. Dawna Polska w opisach podróżników. Książnica Atlas. Wrocław—Warszawa. 1946; str. 156.

Mieczysław Smolarski wybrał 14, zdaniem własnym najciekawszych, fragmentów z opisów obcych podróżników po Polsce i ogłosił w interesującej antologii. Zaczynamy od wrażeń Ibrahima Ibn Jakuba, który odwiedził Polskę niemal przed tysiącem lat, a kończymy przeglądem notatkami pastora Bredetzkyego z początku XIX wieku. Bodajże najciekawsze są opisy Le Laboureura, młodziutkiego dworaka Ludwiki Marii, żony Władysława IV. Pisane jasnym i barwnym językiem, pełne podziwu dla świetności ówczesnej Polski, zawierają wiele bystrych spostrzeżeń. Opisy te i inne czyta się chętnie, pozwalają one bowiem spojrzeć oczyma cudzoziemców na dobrze znane nam zalety i wady dawnej Rzeczypospolitej.

Przyjaciel Spisza i Orawy. Kalendarz na rok 1947. „Związek Spiszaków i Orawiaków"; str. 100.

Wydany z myślą o zainteresowaniach i potrzebach wiejskiej ludności przynosi „Przyjaciel Spisza i Orawy" wiele ciekawego materiału również dla językoznawcy i ludoznawcy. Zwłaszcza zapiski i notatki prof. Mariana Gotkiewicza o wsiach spiskich i orawskich są żywe i cenne. Zwraca też uwagę wspomnienie, pióra Jana Plucińskiego, o znanym artyście malarzu Marcinie Samlickim, entuzjaście pięknego Jurgowa. Prof. Stanisław Leszczycki podaje szkic o obliczu wsi orawskiej na podstawie przeprowadzonej ankiety. Badacze regionalizmu nie pominą lektury kalendarza, a przyjaciele Spisza i Orawy ucieszą się nim szczerze.

Stefan Papée

W poprzednim 49 (106) numerze „Odrodzenia" z dnia 8 grudnia 1946 r.: **Julian Przyboś:** U czeskich i słowackich poetów. — **Karel Čapek** (przełożył **Paweł Hulka-Laskowski**): Klęska. — **Włodzimierz Słobodnik:** Krok dziewczyn uzbeckich. — **Józef Sieradzki:** Romania Libera: W drodze do Bukaresztu. — **Paweł Konrad:** O temacie wojennym. — **Wacław Kubacki:** Czy przeciw lekarzom. — **Helena Blumówna:** Zniszczenie architektury piastowskiej we Wrocławiu. — Moskwa widziana oczami karykaturzysty francuskiego. — **Jerzy Zawieyski:** Niegłośny jubileusz „Wesela". — **Tadeusz Różewicz:** Dola. Gwiazda żywa. — **Tadeusz Peiper:** Wśród mroków. — Konkurs. — **Irena Barowa:** Biblioteczny alarm. — **Piotr Kruszewski:** Obywatelu Ministrze, czy Pan wie... — **Stefan Papée:** Wśród książek. — **Henryk Markiewicz:** Droga przerwana. — **Janina Pregerówna:** Wiersze Wojciecha Bąka. — **Artur Sandauer:** Satyry Huszczy. — Tydzień bibliograficzny. — **kjw:** Szkoła krytyków: Wieczyste podziemie, arlekinństwo i misterność. — **jaszcz:** Przegląd prasy. — **Artur M. Swinarski:** Na peryferiach teatru. **Stefania Łobaczewska:** Z życia muzycznego w Krakowie. — **J. Przyboś:** Dywan i tapeta T. Dobrowolskiego. — W pracowniach pisarzy i uczonych. Ankieta „Odrodzenia" (**Jan Berger**). — Korespondencja (**Artur Sandauer, J. A. Szczepański**). — „Szczeniaki" Roger-Ferdinanda w Poznaniu. — 17 ilustracji. — 12 stron.

Notatki angielskie

Jeńcy włoscy, którzy przebywali przez jakiś czas na terenie Anglii, pozostawili po sobie raczej miłe wspomnienia, choć nie zwalali winy na swego „duce", jak to robili Niemcy, część jej przyjmując na siebie i tłumacząc się rozbrajająco, że we Włoszech brak było węgla, żelaza i uprawnej ziemi. Byli pracowici i na ogół lubiani przez miejscową ludność. Jeśli dochodziło niekiedy do nieporozumień, to bynajmniej nie na tle politycznym — po prostu Włosi uwodzili nieletnie dziewczęta i podniecony tłum oblegał baraki, aby wymierzyć sobie sprawiedliwość. W takich wypadkach interweniowały władze, tłumacząc Włochom, że angielskie dziewczęta dojrzewają później niż włoskie — a ludności, że jeńcy oddają im cenne usługi przy robotach na roli.

Natomiast jeńcy niemieccy nie chodzili swobodnie po mieście czy przedmieściach. Parę miesięcy temu można ich było widzieć w centrum Londynu, w Hyde-Parku. Część parku, w której rozbili namioty, otoczono kolczastymi drutami. Prasa angielska nie omieszkała skwapliwie wytłumaczyć, że nie chodzi tu o ograniczanie wolności jeńców, lecz raczej o zapewnienie im spokoju i ochronę przed natrętną ciekawością gapiów, którzy mogliby im przeszkadzać w pracy.

Obóz niemiecki ciągnął się wzdłuż długiej alei parku i przywodził na myśl jakąś murzyńską wioskę z paryskich wystaw kolonialnych, albo ogród zoologiczny. Niemcy siedzieli osowiali, z założonymi rękami i, jak zwierzęta, którym rzuca ktoś pożywienie, ożywiali się tylko wtedy, gdy dostawali papierosy. Nie wzbudzali większego zainteresowania wśród publiczności, zażenowanej raczej ich tu obecnością.

Ludność Londynu, wychowana w czasie wojny w duchu antyniemieckim, nie chciała i nie potrafiła nawet zmienić swego nastawienia wobec Nemców. Nieliczne tylko kobiety, Austriaczki czy Niemki z pochodzenia, uparcie wracały pod druty, niemiecką „ścianę płaczu". Nie tak wyobrażały sobie wkroczenie Niemców do Londynu.

Jeńcy niemieccy, po paromiesięcznym pobycie w Hyde-Parku, skierowani zostali do pracy przy budowie obozu dla tych wojsk angielskich, które miały wziąć udział w opóźnionej defiladzie zwycięstwa. Miało to symboliczne znaczenie Nie mniej symboliczne były ukazujące się w prasie zdjęcia jeńców niemieckich odnoszących na dworzec walizki żonom oficerów angielskich, odjeżdżającym do Niemiec.

Poza efektownym noszeniem walizek, Niemcy pracują dla przyszłości Anglii, uprawiając nie uprawioną dotychczas ziemię Jest ich na wsi około 400 000 i zdaje się, że Anglia nieprędko zgodzi się na to, aby wrócili do swego kraju. Postanowiła bowiem zamienić 3 miliony akrów odłogiem leżącej ziemi na ziemię uprawną, aby, na wypadek ewentualnych niespodzianek, uniezależnić się od dostaw żywności zza granicy Nie łatwa to praca i ciężki grunt pod uprawę — koszty takiego przedsięwzięcia wyniosłyby wiele, gdyby przyszło Anglii opłacać robociznę — zarobek rządu na niemieckich jeńcach wynosi tygodniowo 750 000. Dlatego, wbrew konwencji międzynarodowej, na mocy której po zawarciu pokoju mają zostać zwolnieni wszyscy jeńcy, liczba ich jeszcze wzrasta pod pretekstem, że pokoju definitywnie nie zawarto To posunięcie rządu angielskiego pogłębia antyangielskie nastroje w Niemczech (Rosjanie zwalniają jeńców, zwiększają racje żywnościowe, przeprowadzają reformę rolną, o co nie troszczą się Anglicy).

Jednak w Anglii każdy zdaje sobie bie sprawę, że nie można tych jeńców zatrzymywać w nieskończoność, tym bardziej, że praca, jaką wykonują, jest rodzajem pracy niewolniczej. Można by to tłumaczyć tym, że Niemcy muszą naprawić to, co zniszczyli, ale dlaczego mają to robić zwykli żołnierze a nie SS czy partyjni przywódcy, z których wielu dziś sprawuje rządy w Niemczech? Anglicy tłumaczą obecność jeńców i tym, że, pracując na roli, pracują oni dla własnego narodu. Przy zwiększonej ilości zbiorów część ich zostanie wysłana do Niemiec. Ale w Niemczech mogliby robić to samo i to dla siebie i na lepszej ziemi.

Powrót niemieckich jeńców do kraju postawiłby rolnictwo angielskie wobec groźby katastrofy. Czterysta tysięcy ludzi, z których większość pracuje na roli, to więcej niż czwarta część ogólnej liczby robotników rolnych w Anglii. Znowu więc, jak niegdyś w kopalniach, chce się w zastępstwie niemieckich jeńców-niewolników, zatrudnić na roli Polaków, jako przymusowych robotników. Przymusowych, gdyż wszystkie zarządzenia angielskiego rządu zdążają w tym kierunku, aby Polakom, którzy zawiśli między Włochami, Polską a Anglią, nie pozwolić pracować w zawodzie, który odpowiada ich kwalifikacjom i zamiłowaniom. Anglia chciałaby ich tu zatrzymać, rozlokować po obozach i użyć do pracy na roli i przy odbudowie dróg. Prasa podaje, że Angielski Związek Zawodowy Robotników Rolnych wypowiedział się stanowczo przeciw tym planom i komitet naczelny związku opracowuje plan akcji na wypadek, gdyby projekt rządu w sprawie osadzenia Polaków na roli został wprowadzony w życie.

Mówiąc o Polakach trzeba wspomnieć o „squatters". „To squat" znaczy przycupnąć — squatter to jakby „przycupacz", człowiek, który cichcem osiedla się samowolnie na niezamieszkałych terenach bezpańskich, lub będących własnością publiczną. Nazwą tą ochrzczono tych bezdomnych, którzy w ostatnich tygodniach zaczęli zajmować wszystkie, pustką świecące baraki i koszary wojskowe. Akcja taka jest zazwyczaj bardzo sprawnie zorganizowana — baraki zajmuje najczęściej duża gromada, która, upatrzywszy dla siebie jakiś obiekt, w ciągu jednej nocy zajmuje budynek i stawia władze przed faktem dokonanym. Rano widzi się już w oknach baraków firanki i doniczki z kwiatami, z kominów unosi się dym, a na podwórzu suszy się bielizna i bawią się dzieci. Nawet sklepikarze i mleczarze biorą udział w takiej akcji, organizując w pierwszy dzień od opanowania budynku dostawę mleka i sprzedaż żywności na kartki. W taki sam sposób zostały zajęte baraki przeznaczone dla polskich żołnierzy, którzy tułają się z kąta w kąt, bo nie wiadomo, co z nimi zrobić. Tym razem akcja była masowa. Wielu z bezdomnych byli to zasłużeni żołnierze, którzy mieli duże rodziny, wobec tego rząd angielski, postawiony wobec faktu dokonanego, postanowił, że przycupaczy" można „odcupnąć" tylko w następujących wypadkach: 1) jeżeli kompetentny w tej sprawie departament dowiedzie niezbicie, że tych baraków koniecznie potrzebuje, 2) jeżeli „przycupacze" nie przyjęli ofiarowywanego im miejsca, 3) jeżeli ilość ich jest nieduża.

W akcji tej zwyciężyli bezdomni — ucierpiały tylko rodziny Polaków, dla których te baraki były przeznaczone. A że były to jedyne pomieszczenia, jakie mógł im zaofiarować rząd angielski, pozostaje im tylko jedno wyjście — obozy Po zajęciu baraków przez bezdomnych rząd angielski wyjaśnił, dlaczego nie oddał ich wcześniej do użytku pozbawionej mieszkań ludności Uważał, że warunki higieniczne tych pomieszczeń nie odpowiadają wymaganiom obywatela angielskiego — mogły jednak wystarczyć Polakom. Przykre!

Prasa zagraniczna interesuje się obecnie podobnym zagadnieniem pracy przymusowej w Afryce, gdzie, wbrew obowiązującym prawom strajku, stłumiono strajk siłą w kopalniach Południowej Afryki. Jeden z tamtejszych przywódców związków zawodowych pisze: Demokracja w Afryce Południowej była zawsze powierzchowna. Ośmiu milionom tubylców, którzy stanowią 4/5 ogólnej liczby mieszkańców, nie przyznano nigdy praw obowiązujących w państwach demokratycznych. Powtarza się tragiczna historia republiki wejmarskiej: profaszystowskie elementy otrzymują wydatną pomoc materialną, odnoszą się arogancko do ludności, pewne, że w przyszłości one będą sprawowały rządy. Uzurpatorzy władzy prowadzą politykę opartą na egoizmie, wyzyskującą robotnika pracującego w kopalniach i wielkich własnościach ziemskich. Prześladowania rasowe miejscowej ludności, utrzymywanie tej ludności w ciemnocie, nędzy i zacofaniu w niczym nie ustępują nazistom.

Strajk górników, który był przełomowym momentem w uświadomieniu politycznym człowieka Afryki, trwał tydzień i objął 11 kopalń i 50 000 robotników. Władze były poważnie zaniepokojone, ale znalazły środki, aby go przełamać siłą. Przywódców deportowano do obozów, a ludność zrozumiała, że to co obiecywano jej w czasie wojny, nigdy nie będzie spełnione Nie uznano nielegalnie istniejących związków zawodowych, nie zniesiono upokarzających przepustek utrzymujących ludzi w stanie niewolnictwa a które w czasie strajków palono publicznie.

Rząd jednak widzi, co się święci i zdaje sobie sprawę, że jeżeli strajk nie przybrał formy rewolucji, to jedynie dlatego, że akcja była za słabo zorganizowana i ludność nie miała broni.

Obecnie, po pogromie w Witwatersrand który strajk zakończył, panuje spokój, ale redaktor „Forum" Cope stwierdza że spokój ten może raczej budzić obawy — jest to cisza przed burzą.

Bogusław Kuczyński

Mistrz Roda

Trzeba przyznać, że sąd polski o kampanii wrześniowej 1939 r. jest trzeźwy, uczciwy, obiektywny, godny narodu, którego stać na przyznanie się do klęski i który umie z niej wyciągnąć należyte wnioski. Podobnie do swej débâcle podchodzą Francuzi, również naród, który — dziś — może się już nie obawiać prawdy.

Prace, które dotychczas ukazywały się w kraju na temat kampanii wrześniowej — ze znaną książką płk. Kirchmayera na czele — wysoko, rzecz prosta, podnoszą męstwo żołnierza i poszczególne jaśniejsze momenty tragicznego „blitzkriegu" (Hel, Westerplatte, Kleberg, walki pod Andrzejewem etc.), ale nie ukrywają, iż kampania była przegrana od pierwszego dnia bezapelacyjnie i całkowicie. Tego zdania był też, pono już 3-go września, Rydz-Śmigły i dlatego miał tak szybko sterować na Rumunię.

My, którzy pamiętamy wrzesień z autopsji, wiemy również, że byli ludzie bezgranicznie mężni obok takich, którzy załamali się na duchu i że nad wszystkimi zaciążyło poczucie zupełnej bezsilności militarnej wobec Niemców. Bili nas oni — mimo naszego heroizmu — jak chcieli, a nie jest w tej chwili ważne, jakie przyczyny złożyły się na ten tragiczny stan rzeczy. Już około 10 września rozpoczął się rozkład wojska polskiego. podobnie jak już w tydzień po uderzeniu Niemców na Jugosławię Piotra i Simowicza rozpoczął się rozkład armii jugosłowiańskiej, choć nie wszystkie oddziały złożyły broń i choć z uciekinierów natychmiast zaczynały się tworzyć oddziały partyzanckie. Bo co innego są chlubne epizody, gerylasówka à la 1863 r., (choć nieraz posługująca się nowoczesnym uzbrojeniem), szarże ułanów na czołgi lub opór kamiennego miasta przeciw czołgom, wzór dla przyszłych Stalingradów — a co innego normalna, z punktu widzenia wojskowego jedynie ważna, walka armii z armią.

To są rzeczy znane i dotychczas nikt przeciw nim nie występował, chyba w kołach emigracji generalskiej w Anglii, gdzie, zrozumiała zresztą z ludzkiego punktu widzenia, chęć osobistego oczyszczenia się z zarzutów kazała temu czy innemu dowódcy wybielać pewne sprawy, a temu czy innemu politykowi zamącać wyraźny obraz. Ostatnio ten zły obyczaj, taka próba tworzenia i urabiania legendy przedostała się do prasy krajowej. Paweł Jasienica omawiając w „Tygodniku Powszechnym" (nr 47) książkę płk. Kirchmayera napisał: (płk. Kirchmayer) „uważa, iż siły polskie na wschodzie uległy rozkładowi już przed 17 września. Tezy swej jednak nie udowodnił. Dowiódł raczej czegoś wręcz przeciwnego". Tym dowodem mają być: działania grupy Narew, zakończone kapitulacją w dniu 13 (!) września, ataki na bagnety (przeciw czołgom) gen. Sosnkowskiego pod Jaworowem, wreszcie obrona Warszawy... Co się więc kryje za absurdalnym sprzeciwem p. Jasienicy? Jaka jest podszewka jego twierdzeń o „zaczepnym zwrocie polskich dywizyj" w drugiej połowie września, półsłówek, że wszystko mogło było być inaczej, gdy by...? Czy p. Jasienica istotnie wierzy, że na Polesiu i w lasach Janowskich — a może też na Huculszczyźnie i w Okopach św. Trójcy — mogła się była toczyć jeszcze długie miesiące, lub choćby tygodnie, regularna, godna tego określenia wojna polsko-niemiecka? Oburzająca jest lekkomyślność, z jaką pewni publicyści przykrawają rzeczywistość do swoich celów. Oburzająca i szkodliwa. I czy to nie w stosunku do p. Jasienicy właśnie powiedziano już raz „przyciąć pazury"?

jaszcz

Jak to wytłumaczyć głodnemu wyborcy?

Głównym celem planu gospodarczego jest podwyższenie dochodu społecznego szerokich mas ludności powyżej poziomu z roku 1938. W tym ujawnia się społeczna strona planu. Dzisiejsza rzeczywistość — to dochód społeczny, którego suma globalna wynosi około 45% dochodu społecznego z r. 1938. To punkt wyjścia.

Rozkład tak zmniejszonego dochodu społecznego pomiędzy poszczególne klasy społeczne uległ zasadniczym zmianom. Stosunek cen produktów rolnych do cen produktów przemysłowych zmienił się — biorąc przeciętnie — na korzyść cen produktów rolnych. W zmniejszonym dochodzie społecznym udział wsi zachował przedwojenną wielkość, a więc uległ stosunkowo znacznemu powiększeniu. To pierwsza zmiana: wieś w o wiele mniejszym stopniu niż miasto ponosi koszty odbudowy powojennej Ma to pewne gospodarcze uzasadnienie: udział wsi przed wojną w dochodzie społecznym był dla w i jaskrawo krzywdzący. Ma to pewne uzasadnienie psychologiczno-polityczne: podstawowym warunkiem stabilizacji ustroju jest zjednanie wsi dla dokonanych przemian ustrojowych i gospodarczych. Ale doraźnym skutkiem jest przerzucenie ciężaru zniszczeń wojennych i odbudowy w głównej mierze na miasto.

Czyli — przy dzisiejszej strukturze społecznej miasta — na pracującego robotnika i inteligenta. Wielki kapitalista prywatny zniknął, nowa warstwa specyficznych polskich „nepmanów" jest warstwą cieniutką, choć swym istnieniem i jaskrawym uzewnętrznianiem się drażniącą. Ale ilościowa i gospodarcza podstawa dochodu społecznego w mieście — to dziś robotnik i inteligent pracujący.

I oto — w okresie, gdy uspołeczniamy produkcję w interesie przede wszystkim robotnika i inteligenta — stopa życiowa tych warstw w porównaniu do ich stopy życiowej z r. 1938 uległa gwałtownemu obniżeniu. To te warstwy w ogromnym procencie opłacają swą obecną stopą życiową odbudowę portów, odbudowę kolei, odbudowę miast, odbudowę fabryk. Dzięki ich obecnej nędzy państwo się odbudowuje, życie gospodarcze się odradza. Anstriaccy socjaliści twierdzili po roku 1918, że uspołecznienie środków produkcji można przeprowadzić tylko w okresie gwałtownie wzrastającej wytwórczości i w okresie nijakiego lub nikłego przyrostu ludności, gdyż tylko wtedy nie wywoła obniżenia stopy życiowej szerokich mas. My zaczęliśmy uspołeczniać — i musieliśmy zacząć uspołeczniać w momencie, gdy produkcja była niemal równa zeru i gdy przyrost ludności zaczął po wojnie wzrastać (a wzrost ten jest konieczny ze względu na potrzebę ludnościowego opanowania Ziem Zachodnich). Zaczęliśmy — i musieliśmy zacząć — budować demokrację ludową w momencie gospodarczo najniekorzystniejszym.

To stwarza szczególnie trudne zagadnienie psychologiczno-socjalne. Jak wytłumaczyć szerokim masom, że ich stopa życiowa musi być niższa w okresie, gdy właścicielem przedsiębiorstwa jest państwo ludowe, niż wtedy, kiedy jego właścicielem był prywatny kapitalista. Rozumowe wytłumaczenie jest pozornie łatwe: kapitalizm rozkwitał od końca XVIII w. niemal do końca XIX wieku kosztem mas robotniczych, kosztem ich nędzy i braku ustawodawstwa socjalnego. Inwestował i rozbudowywał dzięki temu, że szerokie masy żyły w nędzy Gospodarka ludowa jest w tej samej sytuacji: musi budować po zniszczeniach wojennych na nowych podstawach gospodarczych i musi to czynić czyimś kosztem. Metoda szantażu politycznego ze strony wielkiego kapitału zagranicznego uniemożliwia przeprowadzenie tej budowy przy pomocy pożyczek zagranicznych. Musimy budować kosztem własnym — czyli kosztem przejściowej nędzy własnego konsumenta. Ale jak to wytłumaczyć głodnemu wyborcy?

Widzę tutaj jedną przede wszystkim drogę: jak najszerszą kontrolę społeczną. Pracownik fizyczny i pracownik umysłowy muszą wiedzieć, jak państwo gospodaruje — muszą mieć wpływ na gospodarkę państwa. Nowe zarządzenia w sprawie kontroli przedsiębiorstw państwowych, pozornie czysto techniczne, mogą mieć wielkie znaczenie polityczne, jeżeli wyniki kontroli będą podawane do publicznej wiadomości. Nowelizacja dekretu o radach zakładowych, od tak dawna zapowiadana, spełni zadanie, jeśli przez rady zakładowe zapewni robotnikom i pracownikom umysłowym współudział w kierownictwie przedsiębiorstw, także i przede wszystkim przedsiębiorstw znacjonalizowanych. Francuzi — o tyle ostrożniejsi na drodze do demokracji ludowej — nie obawiali się uczynić z tego współudziału nakazu konstytucyjnego. Musimy iść tą samą drogą.

Nie ma demokracji bez kontroli. Jeśli jest ona konieczna w demokracji politycznej, to o ileż konieczniejsza jest w demokracji ludowej, gdzie zakres działania państwa jest o tyle szerszy. W demokracji ludowej nic nie może się uchylać spod kontroli społecznej W momencie, gdy zbliżając się do wyborów wchodzimy w okres stabilizacji ustroju. czas pomyśleć o rozbudowie systemu kontroli w państwie.

Konstanty Grzybowski

Przegląd prasy

Parokrotnie zabierałem głos w sprawie odśrodkowych tendencyj regionalizmu kaszubskiego, znajdującego swój wyraz w wychodzącej w Wejherowie „Zrzeszy Kaszebskiej". Obecnie „Dziennik Bałtycki" poinformował, że w ruchu kaszubskim nastąpił kryzys i że „Zrzesz Kaszebsko" przestała wychodzić. „Pismo to, pod redakcją **Brunona Richerta**, który ujemnie zaciążył na ideologii i opinii ruchu, nie spełniło nadziei w nim pokładanych przez licznych przyjaciół odradzającej się Kaszubszczyzny. Atmosfera negacji i bliżej nieokreślonej odśrodkowości doprowadziła ostatecznie do rozłamu".

„Zdrowy w zasadzie i korzystny ruch" znalazł się na „bezdrożach dezorientacji". Nie znaczy to, by należało z nim w ogóle zerwać. Co wyniknie z fermentu? „Odra" (nr 42) pisze optymistycznie: „Zagadnienie kaszubskie zdaje się wkraczać na nową drogę, na której regionalizm kaszubski w niczym nie będzie przypominał separatyzmu".

Region nadmorski nie ma dziś — gdy uciekł „Wiatr od Morza" — ani jednego czasopisma literackiego; skromniutki „Szczecin" raczej zniechęca, a „Rejsy", dodatek do „Dziennika Bałtyckiego", jest miłym magazynem w rodzaju prowadzonych przez inne pisma codzienne dodatków niedzielnych — niczym więcej.

W jesieni br. umilkły nadto dwa inne czasopisma, które godzi się pożegnać ciepłą wzmianką. „Zdrój" lubelski nie był dobrym czasopismem literackim, ale starał się pełnić rolę kulturalnie pożyteczną. Wysechł z początkiem września br., właśnie po ukazaniu się rocznicowego numeru, w którym redakcja wyraziła nadzieję, że „z większą już sprawnością" będzie urzeczywistniać swoje hasło „kultura i sztuka dla mas", i w którym jeden z autorów zaapelował o „słówko uznania i zachęty" dla pisma; cóż mu dziś po nim?

Poznańskie „Życie Literackie" — zgasło z końcem września — miało więcej wad niż zalet, ale środowisko poznańskie niewątpliwie na własne czasopismo zasługuje.

Praca **K. W. Zawodzińskiego** „Rzut oka na literaturę polską 1945 r.", pomimo wszelkich omyłek i nawet dziwaczności w ocenie (dopatrzenie się pornografii nawet w „Lotnej" Żukrowskiego), stanowi pozycję, która pobudza do dyskusji i przedstawia trwałą wartość.

Likwidacji uległa również „Skarpa Warszawska", która ogłosiła niejeden interesujący artykuł poświęcony zagadnieniu odbudowy stolicy. W jej miejsce pojawił się, wydawany przez Radę Odbudowy Warszawy, tygodnik ilustrowany „Stolica". Strona typograficzna nowego czasopisma dobra, artykułowa na drugim planie; są to właściwie komentowane ilustracje. W gruncie zatem trudno się dopatrzeć potrzeby wydawania „Stolicy" jako osobnego tygodnika.

Nowe wydawnictwo stołeczne przypomina, że jednak urodziny po dawnemu znacznie przewyższają zgony i że czasopisma wciąż się rodzą „jak grzyby po barszczu", by powtórzyć słowa pewnego dygnitarza na pewnej akademii. Z tych nowych czasopism wymieńmy „tygodnik poświęcony sprawom międzynarodowym" pn. „Świat i Polska". Na podstawie paru pierwszych numerów wolno osądzić, że periodyk ten jest potrzebny i będzie przydatny. To pewne, że takie artykuły jak **Konstantego Grzybowskiego** „Konstytucja Czwartej Republiki" lub **Jana Czeczota** „Buchalteria palestyńska" są pożyteczne i wartościowe, a liczne tłumaczenia z wydawnictw zagranicznych mogą spełniać rolę informatora i przewodnika po najrozmaitszych zagadnieniach polityki międzynarodowej.

„Świat i Polska" posługuje się obficie przedrukami. Wyłącznie przedrukom z pism krajowych i zagranicznych poświęcony jest, na wzór podobnych wydawnictw istniejących za granicą (a także przed wojną w Polsce), miesięcznik „Echo". Wybór tekstów świadczy, że redakcja „Echa" nie chce się ograniczać do przedruków o treści społeczno-politycznej. Słuszna zasada. Ale ten sam wybór świadczy zarazem, że „Echo" czerpać chce wyłącznie z czasopism, tymczasem, zwłaszcza jeśli chodzi o przedruki krajowe, winno się postępować inaczej — czytelnicy z całej Polski stosunkowo łatwo trafiają do „Odrodzenia" czy „Kuźnicy", natomiast przeoczyć mogą dzienniki, które mają na ogół ograniczony terytorialnie zasięg, a w których nieraz znajdują się również teksty, zasługujące na utrwalenie i rozpowszechnienie.

Przedrukami posługuje się wreszcie w dużej mierze „Głos Anglii", „tygodniowy przegląd spraw brytyjskich", wydawnictwo brytyjskiego Foreign Office, twierdzące, że pragnie „ugruntowania prawdziwego wzajemnego zrozumienia między narodami polskim i brytyjskim", jak napisał min. Bevin, przesyłając życzenia swemu warszawskiemu wydawnictwu. Czasopismo wychodzące z tak pięknych założeń rozczarowało chyba najgorliwszych zwolenników „orientacji zachodniej". Artykuły bowiem zamieszczone w „Głosie Anglii" są dla czytelnika polskiego przeważnie niestrawne, a często zabójczo nudne; wartość miały dotychczas w „Głosie Anglii" właściwie tylko dwie informacje: **H. Rutlanda** o muzyce polskiej i **M. Żuławskiego** o plastykach polskich w Anglii. Przykrym zgrzytem jest język, jakim przemawia „Głos Anglii", język pełen błędów, potknięć i niezgrabności stylistycznych, okazujący tak duże lekceważenie dla kultury gospodarzy, że mimo woli przypomina się — niech się „Głos Anglii" nie obrazi za porównanie — polskie wydanie niemieckiego czasopisma „Das Signal", przeznaczone dla ludności „nieniemieckiej" w „GG" w 1944 r.

jaszcz

Głosy o „Murach Jerycha"

Marian Piechal („Pobudka", Łódź, nr 36/50):

„Proza ta jako narzędzie analizy, przede wszystkim psychologicznej, służy założeniom syntetyzującym autora i stąd jej skłonność ku aforyzmowi. Czar zdania Brezy, to właśnie jego aforystyczność, pewna hieratyczność i monumentalność. Weźmy na przykład takie zdanie: — „złość niszczy momentalnie całe duchowe obszary, jak piorun, który topi przedmiot z metalu". Proszę, jaka tu zwięzłość i nieodwołalność tego stwierdzenia. A przy tym klarowność i wyrazistość. To już nie zwykłe zdanie opisowe, to zdobycz psychologiczna, to sama prawda. — Z takich właśnie „samych prawd" zbudowana jest cała powieść Brezy".

Kazimierz Czachowski („Trybuna Robotnicza", nr 246):

„Autor nie tyle maluje swoich ludzi, ile odsłania ich rodzaj myślenia. Z właściwym zaś sobie upodobaniem śledząc źródła, z których płyną słowa ludzkie, słowom tym nadaje wyraz świeży, często bardzo pomysłowy, nieraz dowcipny".

Piotr Grzegorczyk („Tygodnik Warszawski", nr 35/42):

„Cała bowiem powieściowa gra autorska polega na kolejnym demaskowaniu swych bohaterów, w sposób dość jednostajny. Omnipotencja autorska nie zna granic ani tajemnic, wiadome jej są najskrytsze myśli każdego preparowanego osobnika. Usoczyścić go, pokazać w jego klimacie duchowym, obnażyć, kazać mu się zdradzić w rozmowie lub w myślach, rzadziej w czynie, wciąż tym samym chwytem demaskucym — oto zdobycz, poza którą autor nie wychodzi. Ta zaleta staje się zarazem wadą konstruktywną utworu, któremu brak kontrastów i perspektyw. Dusimy się w abundancji i rozrzutności analitycznej nie związanej bezpośrednio z akcją, bardzo skąpą i lekceważoną. W rewelowaniu nie widzimy poczucia hierarchizacji ani zespolenia rewelowania z rozwojem akcji. Portret charakterologiczny, kapitalny sam w sobie, zamknięty często pointą dyskredytującą, daje widać więcej satysfakcji autorowi, podobnemu w tym czasem do Jules Romainsa. Razi zarówno przesadna pewność siebie w dociekliwości psychologicznej, jak i częste stawianie kropek nad „i"... Więc to Polska? Autor nie potrafi dojrzeć nic pozytywnego, żadnej szerszej ni głębszej myśli, żadnej jaśniejszej i istotnie wartościowej postaci nie przed swojej galerii figur. Czy można żywić o to do niego pretensję? Absolutnie żadnej. Opisał najlepiej to, na co patrzył własnymi oczyma, co znał, w czym może tkwił. Dlatego już w scenach zebrań młodych nacjonalistów radykalnych i nieporadność i fałsze. Postać młodego komunisty — ...pozasceniczna i niewidoczna. Innej Polski nie dojrzał".

Bolesław Dudziński („Głos Ludu"):

„Jednym z najcenniejszych darów pisarskich Brezy jest zdolność budowania pełnodźwięcznych skrótów sytuacyjnych, zdolność ukazywania postaci powieściowych w takich kombinacjach i konstelacjach wzajemnych, że w jakiejś jednej krótkiej scenie, w jakimś przypadkowym dialogu człowiek obnaża się i ujawnia niemal bez reszty".

Tadeusz Borowski („Pokolenie", nr 2):

„Któż nie jest satyrykiem własnej przeszłości! Pobrzękuje i satyra w powieści Brezy, ale owiana lekką mgiełką współczucia i przygłuszona epickim, sprawiedliwym umiłowaniem przedmiotu, znajomością aż do przesytu. Powieść ta jest wydarzeniem. I dlatego, że jest tak inteligentnie napisana. I dlatego, że jest o człowieku... I dlatego, że jej proza jest odkrywcza. Obok tych niepośledniech zalet mają „Mury Jerycha" wielkie ambicje. Chcą one stać się drugą „Oziminą". Czy staną się?"

Stefan Kisielewski („Tygodnik Powszechny", nr 83):

„Relatywizm moralny wynikły z bardzo przenikliwego widzenia psychologicznej podszewki ludzkich stosunków przepaja książkę; relatywizm, który wyklucza wszelką tendencyjność czy pasję etycznego wartościowania zdarzeń... Nagrodzono w istocie książkę na wskróś literacką, nie łatwiznę ani tendencyjną demagogię, nie żadną „satyrę" na okres rządów sanacji, lecz raczej — tak sądzę — próbę wewnętrznej rehabilitacji, usprawiedliwienia czy psychologicznego, bezstronnego prześwietlenia tego okresu, próbę, wskazującą drogę do jego istotnego zrozumienia. Przy tym obiektywizm pisarza, zaopatrzonego w duchowy skalpel i mikroskop, jeśli już jest tu zamącony jakąś nutą osobistej tendencji — to raczej może nie całkiem świadomym, lecz niewątpliwie przepajającym książkę — sentymentem do przedstawianego okresu... „Mury Jerycha" nie są powieścią o polityce takiej, jaką ona była, lecz — powieścią o polityce takiej, jaką ona mogła być... Jakiś to polityczny surrealizm, świadectwo twórczej, nie naśladowczej postawy wobec życia — postawy, która mimo całej precyzji aparatu widzenia nie pozwala uznać Brezy za zwykłego, w potocznym, zwulgaryzowanym zresztą tego słowa znaczeniu — realistę. Świetnie puszcza w ruch postacie wzięte z realnego życia, znakomicie maluje ich psychiczny mechanizm, źródła i tło ich impulsów, lecz nie zapominajmy ani na chwilę, że w istocie są to postacie i wypadki, choć mające za prototyp postacie i wypadki kiedyś rzeczywiście istniejące — zmyślone, powieściowe... Jeśli tę sympatyczną mi fikcyjność książki podkreślam, to tylko dlatego, aby zrównoważyć mylny a rozpowszechniony pogląd, jakoby całkowicie wiernie i realistycznie malowała sanację, „Falangę" itp."...

Jan Kott (Kuźnica, nr 31):

„Ze wszystkich ogłoszonych dotychczas książek „Mury Jerycha" najdalej i najgłębiej sięgnęły w istotną treść polskiego faszyzmu. Wielka powieść polityczna, ale jednocześnie, a może właśnie dlatego, wielka powieść intelektualna. Nieszczęsnym dogmatem psychologicznym w prozie było pisanie zawsze poniżej możliwości intelektualnych autora. Kanon prawdopodobieństwa sytuacji zmuszał do imitowania w prozie nudnych i codziennych rozmów tuzinkowych bohaterów. Każdy autor lękał się śmiertelnie, żeby nie być przypadkiem inteligentniejszym od swoich postaci. A postaci wybierał co przygłupsze... Breza za przykładem wielkich klasyków każe swoim bohaterom toczyć rozmowy doskonale inteligenckie... Przywraca powieściowemu dialogowi jego właściwe zadanie: wyostrza go i napina".

W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH*)

Stefan Barbącki: Prace moje dotyczą metod badań doświadczalnych w dziedzinie rolnictwa oraz zagadnień genetyki i hodowli roślin. Wydaje obecnie napisaną przed wojną monografię „Analiza zmienności w zagadnieniach doświadczalnictwa" i rozprawę „Dalsze badania nad dziedziczeniem i zmiennością zawartości azotu w ziarnie jęczmienia". Na warsztacie mam syntezy wyników doświadczeń rolniczych robionych w kraju oraz prace przygotowawcze do wznowienia przedwojennego wydawnictwa miesięcznika „Przegląd Doświadczalnictwa Rolniczego".

Józef Andrzej Frasik: Nie wydaję na razie żadnej książki. W maju br. wydałem obszerny zbiór wierszy (160 stron druku) pt. „Urodzony w źdźble", zawierający, rozrzucone po czasopismach literackich i prasie codziennej, utwory poetyckie z lat 1936—1939. Do książki tej włączyłem także cykl utworów z lat okupacji („Koral kaliny"). Książka moja została wydana przez Związek Zawodowy Literatów Polskich — Oddział Wiejski w nakładzie 4 000 egzemplarzy i w chwili obecnej jest już po większej części rozsprzedana. Jeśli tak dalej pójdzie, w przyszłym roku przygotuję drugie jej wydanie — ale chyba pod zmienionym tytułem, jako „Wiersze wybrane", aby zaoszczędzić, wygodnym i bezzębnym czytelnikom, kłopotu z wymawianiem tytułu („Urodzony w źdźble" — zbieg pięciu spółgłosek!).

Istotnie, słuchając niekiedy uczonych wywodów pewnych „znawców" od spraw fonetyki (i poetyki także), zastanawiam się, czy aby swego czasu nie miał racji ks. Wojciech Dębołęcki, który w swoim „Wywodzie jedyno-własnego państwa świata itd....", wydanym w roku 1633, pisze, że język polski ma takie słowa, jak „chrząszcz, chrzest, trzpień, trzmiel", których — „żadna warowna (!) gęba nie wymówi". A cóż dopiero „w źdźble".

Mam „zamówienie społeczne" na wiersze dla dzieci, których napisałem dotąd — plec. We wspomnianym tomie pomieściłem mianowicie te pięć wierszy pt. „Jesień dzieci". Cykl ten został w jednej recenzji o książce szczególnie wyróżniony, tak, że w chwili obecnej mam już zamówienie od wydawcy, aby ten cykl rozbudować jeszcze na inne pory roku i z ładnymi rysunkami wydać. Czy jednak uda mi się to zrealizować — nie wiem. Gdyby praca poszła po mojej myśli, byłaby to moja pierwsza książka dla dzieci.

Obecnie jestem bardzo zajęty pracą w Oddziale Wiejskim Związku Zawodowego Literatów Polskich, a pracę tę tylko w pewnym sensie mogę nazwać pracą literacką. Nad większym utworem na razie nie pracuję. Piszę drobne wiersze liryczne, artykuły, które ukazują się tu i ówdzie, współpracuję z radio w tzw. „kwadransach poetyckich" i redakcją tygodnika literackiego „Wieś" — i to by było wszystko, chyba, żeby wspomnieć jeszcze o „Almanachu współczesnej literatury chłopskiej", który przygotowujemy do druku wspólnie ze Stanisławem Piętakiem i Stefanem Lichańskim. Będzie to dłuższa rzecz traktująca o współczesnej literaturze „chłopskiej" — (poezja, proza, artykuły krytyczne, noty biograficzne, fotografie itd.) za rok 1945—1946. „Almanach" ukaże się już może w grudniu nakładem Oddziału Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich.

Dotąd uprawiam właściwie jeden rodzaj literacki — lirykę. Pasjonuje mnie ostatnio proza powieściowa, ale brak czasu nie pozwala mi należycie się jej poświęcić. Trochę prozy już nawet napisałem, ale te „Panny", jak nazwałem pierwsze moje nowele, jeszcze nie są „na wydaniu".

W związku z „Rokiem Kościuszkowskim", a także i z innej przyczyny, zajmowałem się postacią generała Jakuba Jasińskiego, niesłusznie zapomnianego i niesłusznie niedocenionego poety w historii literatury osiemnastego wieku.

Trudno wiele zapowiadać i wiele obiecywać a mało realizować.

Od roku poszukuję mieszkania w Krakowie, aby nie być zmuszonym pisać w kuchni. Piszę tylko w dnie pogodne, kiedy żonę z dzieckiem wysyłam na spacer, aby mi nie przeszkadzały, i w nocy, kiedy śpią.

Z tej, tak prostej przyczyny, na trzecie pytanie ankiety („Jakie są plany pisarskie na najbliższą przyszłość") — nie mogę odpowiedzieć szerzej.

Edward Taylor: 1) U W. Wilaka w Poznaniu wychodzi drugie wydanie mej broszurki „O istocie spółdzielczości".

2) Mam przygotowaną do druku dużą pracę około 320 stron, „Teoria produkcji", Nie mogę na razie znaleźć na nią nakładcy. Chciałbym też wydać drugie wydanie swego „Wstępu do ekonomik", poprawione i uzupełnione.

3) Po wydaniu prac ad 2) chciałbym przystąpić do napisania uniwersyteckiego podręcznika ekonomiki, ale to sprawa wymagająca dużo czasu i pracy. Chciałbym też wznowić wydawane przeze mnie przed wojną „Poznańskie Prace Ekonomiczne", obejmujące prace mych uczniów.

*) Por. odpowiedzi w nr nr 68—92, 94—95 i 105—106 „Odrodzenia".

Spółdzielnia Wydawnicza „Książka"
POWIEŚĆ I NOWELA
LOUIS ARAGON
Wielkość i niewola Francji
zł. 150.–
KAZIMIERZ BRANDYS
Miasto niepokorne
zł. 220.–
I. ERENBURG
Upadek Paryża
zł. 300.–
JAN KOTT
Po prostu
zł. 300.–
JÓZEF MORTON
Inkluzowe wino
zł. 280.–
S. KLIMCZAK
Od Oki do Szprewy
zł. 210.–
JAN PAPUGA
Szczury morskie
zł. 200.–
WANDA ŻÓŁKIEWSKA
Kobiety z Limbich
zł. 120.–
„KSIĄŻKA" 292

Spółdzielnia Wydawnicza „Książka"
WYDAWNICTWA NAUKOWE I POPULARNO-NAUKOWE
JAN DEMBOWSKI
Psychologia małp
zł. 270.–
C. KUREK-KOJRAŃSKI
Od słońca do dynamomaszyny
zł. 65.–
PAWEŁ LANGEVIN
Era przemian
zł. 15.– 298
„KSIĄŻKA"

Wystawa grafiki, akwarel i rysunków artystów Związku Radzieckiego

Wymieniona w tytule wystawa, otwarta w dniu 10 listopada br. w gmachu krakowskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych, obejmuje około 350 prac blisko stu artystów. Jest ona zjawiskiem interesującym jako przyczynek do zagadnienia kultury artystycznej Związku Radzieckiego. Jej przybycie do Polski poprzedziły niejasne i ogólnikowe wieści na temat uprawianego w radzieckiej sztuce „socjalistycznego realizmu" czy „neorealizmu". Wieści te sygnalizowały sztukę wprzęgniętą w służbę państwa, ustroju radzieckiego, jego polityki społecznej i materialistycznej ideologii. Informowały także o sztuce, dla której sprawa zasadniczą i wyłączną jest temat, a sprawa drugorzędną — forma.

Wieści te były nieścisłe. Albowiem wystawione w Krakowie prace graficzne, akwarele i rysunki nie potwierdziły w całej rozciągłości owych zapowiedzi, a ujawniły własności, które zmuszają do dość znacznej poprawki naszych o tej sztuce mniemań. Co prawda, brak na wystawie obrazów olejnych, które dopiero mogą być istotną miarą sztuki malarskiej. Dlatego pewne uwagi ogólne, jakie się na tym miejscu spróbuje sformułować, będą się odnosiły wyłącznie do rodzajów malarstwa, uwzględnionych w obecnym pokazie.

Malarstwo radzieckie nie wydaje się czymś integralnie związanym z państwem i jego ustrojową formą. Wydaje się natomiast, i to trzeba powiedzieć jasno, malarstwem przeznaczonym dla szerokich rzesz odbiorczych — i w pewnym sensie przystosowanym do możliwości percepcyjnych przeciętnego widza, pozbawionego specjalnego wykształcenia plastycznego. Tym się tłumaczy umiarkowany realizm radzieckiej sztuki, którego nie należy zwać neorealizmem, bo nowe formy polityczno-społeczne nie pociągnęły za sobą powstania nowej postaci realizmu. Dojście do głosu nowych grup społecznych nie spowodowało także powstania „naturalizmu" w rozumieniu np. Zoli i Goncourtów, tj. kierunku poświęconego biopsychicznemu istnieniu człowieka i jego „naturalnym" instynktom. W malarstwie tym, na ogół prostym i nieefektownym, dostrzega się realistyczną a niekiedy poetycką wizję świata w sensie odczuwania uroków przyrody, jej surowej barwności czy świetlistości. Dostrzega się w tym malarstwie rysy tak typowe dla złożonej psychiki rosyjskiej; jak, z jednej strony, dyspozycję do groteski i rasowe zacięcie satyryczne, z drugiej, liryczny stosunek do świata, poczucie fantastyki i skłonność do melancholii, niekiedy posępności, z tym jednak, że te różne sposoby widzenia świata i towarzyszące im stany uczuciowe wydają się swoista nadbudową na mimo wszystko realistycznym pojmowaniu życia. Malarstwa tego nie można, jak się zdaje, mierzyć wyłącznie osiągniętymi wynikami, lecz także tymi jakościami, które wciąż jeszcze stanowią pewnego rodzaju zapowiedź.

Oprócz wymienionych właściwości radzieckiej sztuki, zarówno krajobrazowej jak figurowej, warto jeszcze zwrócić uwagę na cechujący ją często, a dostrzegalny głównie w drzeworytach, klasycyzm, który w związku z Akademią petersburską ma za sobą bardzo poważną tradycję, sięgającą końca XVIII wieku.

Klasycyzm wprowadza nas w zagadnienie stylu, a więc formy. Jak wspomniano już o tym, forma omawianej sztuki nie jest nowatorska, gdyż na ogół wyprowadzić ją można z „realizmu" drugiej połowy zeszłego wieku, jednakże nie bez pewnych zastrzeżeń. W rysunku satyrycznym „Kukryniksów" dostrzegamy echa Daumiera — i Orłowskiego, w drzeworytach Pikowa pewną posągowość i rytmiczność, będącą potwierdzeniem ciągłości klasycznego nurtu rosyjskiej sztuki. W linorytach Faworskiego odkrywa się zapożyczenia wschodnie, zwłaszcza z drzeworytu japońskiego, którego wpływ odbił się zupełnie wyraźnie także na litograficznych wizerunkach zwierząt Czaruszina. — Piękne, z lekka lawowane, bardzo wyczulone rysunki piórkowe Afiejewskiego z widokami Moskwy, uzupełnione maleńkimi figurkami sztafażu, kierują myśl ku szkicom Guardiego, tak jak sepiowe, rysunkowo i malarsko traktowane szkice postaci dziewczęcych Kuprijanowa posiadają znowu francuską gracje, skojarzoną ze słowiańskim sentymentem. Zarówno delikatna linia tych studiów, jak ich śmiała rozlewność składają się na uroczą całość. Maleńkie gwasze Mawrina, pełne barwnych kopuł cerkiewnych, przypominają swą wielobarwnością dekoracyjne malarstwo rosyjskie sprzed zeszłej wojny i przywodzą na pamięć perską sztukę miniatorską. Jak z tego wynika, malarstwo radzieckie nie jest ani skamieniałym monolitem, ani czystym realizmem i posiada wcale silnie zróżniczkowane oblicze.

Rozważane jednak jako całość, należy raczej do kultury zachodniej niż wschodniej. Jego związki z malarstwem Zachodu zarysowują się zupełnie wyraźnie, aczkolwiek brak w nim odblasków kubizmu i kierunków pochodnych. Dodać w tym miejscu należy, że malarskie manifestacje futuryzmu, kubizmu i ekspresjonizmu, uzasadnione dynamiką rewolucji październikowej, trwały w Rosji krótko jako społecznie nieprzydatne, zastąpiono je przeto w okresie krzepnięcia republiki formami ludziom łatwiej dostępnymi.

Wśród pokazanych gatunków plastycznych wysuwa się na czoło grafika, w szczególności zaś drzeworyt. O jego stanie dzisiejszym informują np. ilustracje Eczeistowa do utworów Mickiewicza, Konstantinowa do powieści Dostojewskiego i poematu Lermontowa „Mcyri" — do „Nosa" i „Wija" Gogola ryte przez Krawczenkę — oraz ryciny wspomnianego Pikowa, przeznaczone między innymi do „Antoniusza i Kleopatry" Szekspira. Wysoki kunszt techniczny wykazuje staloryt Aferowa z wizerunkiem Lenina. Poważne zalety posiadają drzeworyty Faworskiego.

Uwzględnienie dat urodzenia przy nazwiskach niektórych wymienionych w katalogu artystów pozwala na ustalenie ich wieku, co prowadzi do pewnych wniosków ogólnych. Najstarszym spośród poznanych dzięki wystawie ksylografów jest sześćdziesięcioletni Faworskij; Krawczenko ma lat pięćdziesiąt trzy, Eczeistow czterdzieści dziewięć, Pikow czterdzieści trzy, a Konstantinow trzydzieści sześć, przy czym między najstarszym Faworskim a najmłodszym Konstantinowem można wykazać ścisłe relacje stylistyczne, obydwom zaś przyznać poważne wartości formalne. Świadczy to o utrwaleniu się pewnego stylu drzeworytniczego, o istnieniu szkoły, której solidne rzemiosło, związane z opracowaniem twardej deski technika „sztorcową", oddziaływuje także na kraje ościenne, np. Polskę. Nie ulega bowiem wątpliwości, że przedwojenne warszawskie pokazy grafiki radzieckiej wywarły znaczny wpływ na niektórych uczniów Skoczylasa.

Zarówno całostronicowe rosyjskie ryciny książkowe, jak drobnych wymiarów przerywniki bywają wykreślane ostrą, precyzyjną linią, która wraz z innymi elementami powierzchni tworzy czyste, bezbłędne z punktu widzenia technicznego powierzchnie. W szczególności uderzają swoim klasycznym spokojem i poczuciem antycznego stylu drobne ryty Pikowa, spokrewnione niekiedy z „czarnofigurowym" malarstwem wazowym. Jego antykizowane postacie bywają znowu podobne do brązowych posągów. — Spośród litografów warto wymienić Kibrika, którego ilustracje do powieści Romain Rollanda „Zaczarowana dusza", rysowane łagodną linią i walorową plamą, pełne psychologicznej prawdy i świadomie passeistyczne, spełniają dobrze rolę plastycznego uzupełnienia literackiego utworu.

W świat rosyjskiej bajki wprowadzają widza wielobarwne, intensywne w kolorze, oparte na sztuce ludowej autolitografie Waśniecowa, których swoista fantastyka i naiwnie radosny zespół barwny wydają się typowe dla rosyjskiego instynktu plastycznego. Silny ładunek rosyjskości uderza także w tuszowych rysunkach Sojfertisa. Właściwa im dynamiczność, znaczne poczucie gestu, jakiś rys groteskowości a zarazem patosu przy młodzieńczej, niefrasobliwej swobodzie, zespalają się w osobliwe przedstawienia żywych, nawet żywiołowych ludzi. Najbardziej może charakterystyczny wydaje się dla niego szkic „Pić się chce", z motywem fontanny wytryskującej spośród trzech puttów i postacia gwałtownym ruchem przegiętego żołnierza, łapiącego ustami wodę.

Do właściwego zrozumienia sztuki radzieckiej nie wystarczy tylko jej formalna analiza. Tłumaczyć ją trzeba również jej funkcją społeczną, a także innymi faktami natury socjologicznej. W żadnym zaś razie nie wolno zapomnieć o tym, że na ogół chodzi tu o sztukę społeczeństwa młodego, o sztukę grupy zawodowej, zasilonej zapewne dopływem ludzi pochodzenia ludowego. Wcale interesujący wynik przynosi statystyczna próba zestawienia biorących udział w wystawie artystów starszych i młodszych, tj. takich, którzy wykształcenie zawodowe musieli zdobywać już po rewolucji październikowej. W świetle danych katalogowych cyfry się równoważą. Liczba młodych odpowiada mniej więcej liczbie ich starszych kolegów, co więcej sztuka tych młodych stanowi gatunkowe przedłużenie sztuki starszej generacji. Rzuca to charakterystyczne światło na sprawę tradycji artystycznej, która trwa pomimo przemian polityczno-społecznych. Zauważyć warto, że podobnie przedstawia się sprawa i u nas, oczywista z zastrzeżeniem inności naszego malarstwa.

O sztuce radzieckiej trzeba wreszcie stwierdzić, że w dziedzinie plastyki nie osiągnęła ona jeszcze tego stopnia rozwoju, jaki osiągnęło rosyjskie piśmiennictwo. Nie wynika z tego, że należy rezygnować z optymizmu w odniesieniu do sztuk plastycznych Słowiańszczyzny. Albowiem tak w zakresie piśmiennictwa jak i w zakresie plastyki punkt ciężkości może się z czasem przesunąć z zachodniej Europy do wschodniej. Żywot ludzkości jest krótki, toteż czeka ją jeszcze sporo niespodzianek. Nie od rzeczy będzie tu przypomnieć, że znany autor książki o ludziach genialnych, Kretschmer, wierzył w wielką przyszłość artystyczną narodów słowiańskich.

Tadeusz Dobrowolski

OBURZAJĄCE PORÓWNANIE

Sprawa arcybiskupa Zagrzebia ks. Stepinaca — za działalność antynarodową i antypaństwową skazanego w Belgradzie na wieloletnie więzienie — nie przestaje na Zachodzie wzbudzać uwagi, całkiem świadomie wyzyskiwanej dla celów politycznych. W sprawie arcybiskupa-zdrajcy i zausznika Niemców ustawicznie zabierają głos rozmaite czynniki w Londynie i Nowym Jorku. Pojawiły się też pogłoski, że na najbliższym konsystorzu ks. Stepinac zostanie mianowany kardynałem. Dla wytłumaczenia tej możliwości posłużono się przykładem z dziejów kościoła polskiego: arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego, ks. Ledóchowskiego, również papież mianował kardynałem po uwięzieniu go przez rząd świecki.

Porównanie takie głęboko oburza. Ks. Ledóchowski występował w obronie konkordatu i praw religijnych narodu, do którego należał — księdzu Stepinacowi udowodniono pospolitą zdradę właśnie narodowych interesów. Sprawa była tak jasna, iż marszałek Tito, nie chcąc dopuścić do kompromitującego procesu, interweniował swego czasu u kurii, by Stepinac opuścił Jugosławię, w przeciwnym bowiem razie zostanie aresztowany. Ówczesny nuncjusz papieski w Belgradzie otrzymał od marsz. Tito księgę z opisem przestępstw Stepinaca.

Nic nie pomogło. Stepinac pozostał w Zagrzebiu, proces się odbył i winowajca powędrował do więzienia. Dziś wrogowie Jugosławii robią z niego męczennika. Ale w dzisiejszych czasach nie uda się im z biskupa-traditora zrobić świętego.

jaszcz

NOWE NAGRODY
Województwa Krakowskiego

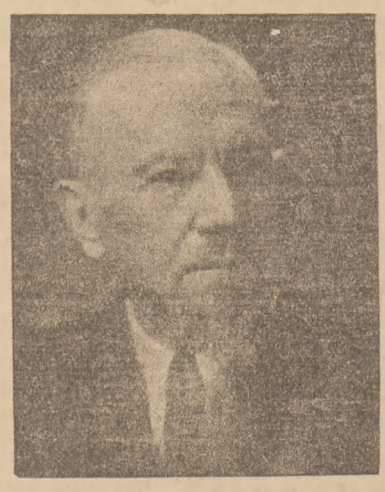

LEOPOLD STAFF
otrzymał nagrodę wojewódzką za działalność literacką

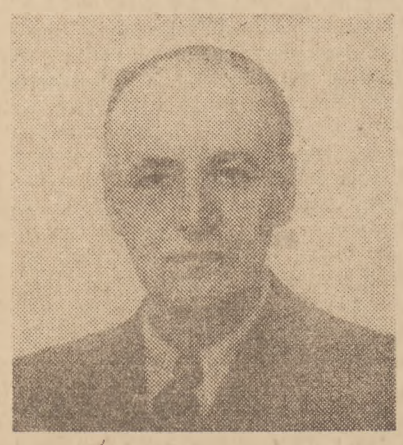

TADEUSZ OCHLEWSKI
otrzymał nagrodę wojewódzką za działalność w dziedzinie muzyki

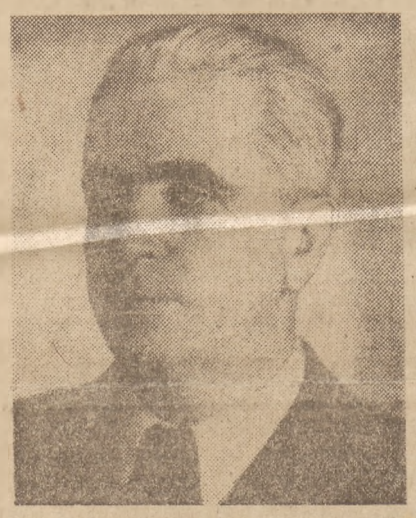

JERZY FEDKOWICZ
otrzymał nagrodę wojewódzką za twórczość plastyczną

OD ROZSĄDKU DO NIEROZSĄDKU

Zaczyna się całkowicie do rzeczy. „Nie podziwiajmy" bezkrytycznie, w naszych cielęcych zachwytach na temat Szwedów czy Anglosasów jest wiele z kompleksu niższości — chwała Bogu mamy co zagranicy przeciwstawić i czym się z nią równać. Ale po chwili myśl się gmatwa: „Gdzie jest naród, polskiemu narodowi podobny?" — wyłazi szydło z worka. I dalej już na całego. „Bo gdzież jest naród, który by Bóg tak jak nasz umiłował, że wydał go na mękę przechodzącą wyobraźnię ludzką i ludzki sąd o możliwościach przetrwania?" Nic dziwnego, że Polska dawała i daje „przewspaniały, potężny obraz zmagania się dwóch potęg: ludzi Boga i ludzi Szatana, krwawe widowisko walki Dobra ze Złem".

Bo u nas to tak: albo — albo. Albo „Cudzoziemczyzna" albo „Chrystus narodów". A czy nie lepiej byłoby, zamiast z jednej skrajności popadać w drugą — jak się to właśnie przydarzyło „Tygodnikowi Warszawskiemu" w cytowanym artykule — powiedzieć po prostu i do sensu, że nie mamy się czego wstydzić „obcych", bo aniśmy gorsi od nich, ani lepsi, i że całkiem po prostu — czas zerwać z kompleksami, a zacząć myśleć rozsądnie? I że nie jesteśmy i nie chcemy być „Bożym i świętym narodem polskim" — bo chcemy być i jesteśmy narodem jak każdy inny?

jaszcz

Życie muzyczne w Krakowie

Są koncerty, które należy rozpatrywać pod kątem widzenia ściśle artystycznym, ale są i takie, które mają znaczenie głównie, a czasem nawet jedynie — historyczne. Zaliczyć tu wypadnie ostatni koncert Filharmonii Krakowskiej, poświęcony twórczości Zygmunta Noskowskiego.

Nazwisko Noskowskiego na ogół rzadko spotyka się dziś na afiszach koncertowych — i nie bez racji. Wiąże się ono bowiem z okresem, który nie należy do ważkich w historii muzyki polskiej. Cała druga połowa XIX wieku, to w naszym życiu muzycznym okres dyletantyzmu, zaściankowości i zacofania, a w twórczości — eklektyzmu, spowodowanego brakiem talentów na większą miarę (poza jednym Moniuszką). Moniuszko zresztą nie mógł wystarczyć jako jedyne źródło tradycji dla dwóch czy trzech pokoleń, które, nie mając w kraju ośrodka, w którym by kompozytorzy mogli się rozwijać i próbować swych sił, kształciło ich u drugorzędnych pedagogów w Niemczech. Stąd ta dziwna, nieorganiczna symbioza nuty narodowej, zapożyczonej od Moniuszki, z formą i techniką epigonów Wagnera, która opanowała muzykę polską drugiej połowy XIX wieku.

Wszelkie wysiłki historyków, by przywrócić ją do życia, zawiodły. Zdarza się i dziś jeszcze, że stwierdzenie tych historycznych już faktów nazywają pewne koła „szarganiem świętości". Jest to uraz odziedziczony z tych dawnych czasów, gdy takie nazwiska jak Noskowski, Żeleński, Statkowski i inni oznaczały szczyty naszych osiągnięć w muzyce. Dziś sytuacja zmieniła się tak dalece, że uraz ten jest zupełnie niezrozumiały. W imię prawdy historycznej trzeba powiedzieć, że obok okresów wielkiego rozkwitu twórczości muzycznej, jak wiek XVI i XVII, i czasów obecnych, kiedy, począwszy od „Młodej Polski", mamy wielu kompozytorów rokujących coraz większe nadzieje, były też u nas okresy stagnacji i upadku, i właśnie druga połowa XIX wieku jest tego klasycznym przykładem.

Jakże uboga w to, co nazywamy tradycją muzyczną, jest wykonana na ostatnim koncercie III Symfonia Noskowskiego. Nie można jej odmówić pewnej łatwości i potoczystości inwencji melodycznej, pewnej gładkości harmonicznej, ale jakże są one stereotypowe i konwencjonalne! A był to w Europie okres najbujniejszego indywidualizmu w sztuce. Gdzie szukać tej indywidualnej nuty u Noskowskiego, który powtarza za innymi utarte frazesy, a jeżeli wprowadzi jakiś motyw ludowy, to topi go w szacie harmonicznej i instrumentacyjnej, zupełnie dla niego obcej.

Cóż więc dziwnego, że w programach naszych koncertów nazwisko jego spotyka się coraz rzadziej, ustępując miejsca tym, którzy rozpoczęli wraz z „Młodą Polską" okres odrodzenia naszej muzyki? Teoretyczno-pedagogiczne prace Noskowskiego zapomniane są równie jak jego symfonie. Historia okazała się dla niego bezlitosna, używając jego nazwiska jedynie jako odskoczni dla uwydatnienia żywiołowego rozmachu polskiej twórczości muzycznej w XX wieku. Porównując, czym była nasza muzyka wtedy, a czym jest dziś na terenie europejskim, potrafimy zmierzyć odległość, jaka nas od niego dzieli.

W koncercie wzięły udział: orkiestra Filharmonii Krakowskiej pod dyrekcją **W. Bierdiajewa**, chór Filharmonii i soliści **(M. Morbitzerowa** i **A. Klonowski).** Słowa uznania należą się chórom, starannie przygotowanym (kier. **Zb. Soja).** Natomiast orkiestra była nieprzygotowana. Ponieważ takie wypadki zdarzają się w ostatnich czasach coraz częściej, należało by zapytać, kto tu ponosi winę? Jeżeli tak dalej pójdzie, orkiestra Filharmonii Krakowskiej utraci miejsce najlepszego zespołu w Polsce. A. Klonowski śpiewał partię Jasia w balladzie pt. „Służył Jasio u pana" czysto i muzykalnie, choć nie bez tanich efektów operowych. M. Morbitzerowa odśpiewała swą niedużą partię poprawnie. Czekamy na inne występy, które jej głos i możliwości pokażą bardziej wszechstronnie.

Stefania Łobaczewska

Na peryferiach teatru

„KRÓL DUCH" W TEATRZE RAPSODYCZNYM

(Muzyka Fryderyka Chopina. Układ i opracowanie sceniczne: **M. Kotlarczyk.** Szata: rapsodyczna. Plastyka: **F. Walczowski.** Rytmika: **B. Wolska.** Przy fortepianie: **K. Niżyńska.** Udział biorą: **M. Grodyńska, E. Heise, T. Larysz, L. Legut, D. Michałowska, A. Namysłowska, K. Ostaszewska, J. Adamski, J. Jaźwiec, J. Klimowski, M. Kotlarczyk, A. Kowalczyk i M. Siekierski).**

Krakowski Teatr Rapsodyczny „rozwija" się w sposób niepokojący. Z początku poprzestawano na recytowaniu utworów. Recytowano je na ogół poprawnie, ściśle mówiąc: szkolnie, to znaczy pusto, patetycznie i nudno. Raziła już wtedy dowolność w wyborze fragmentów, brak konstrukcji i kompozycji całego montażu słownego (np. w „Beniowskim"). Raziła dowolność reżyserii w elementach zarówno wzrokowych jak i słuchowych: recytujący spacerowali po stopniach, mówiąc solo albo chóralnie, ale nie można było odgadnąć potrzeby takiej właśnie koncepcji. I raził afektowany strój zespołu, nazwany w programie „szatą rapsodyczną": panowie mieli na sobie koszulki a la Słowacki, czarne spodnie i czarne płaszcze, jakie zwykli nosić aktorzy grający Konrada w „Dziadach"; ubiór pań przypominał prowincjonalne Balladyny. Przekraczano tutaj ową przysłowiową granicę, która dzieli solenność od śmieszności.

W pięciolecie swej pracy Teatr Rapsodyczny wystąpił z „Królem Duchem" Juliusza Słowackiego. Nie będziemy spierać się z kierownikiem teatru o wybór utworu. Wyrwane na chybił-trafił fragmenty nie potrafią uprzystępnić nam poematu, w który trzeba się z mozołem wczytywać; mogą go nam przypomnieć, mogą zachęcić do zdjęcia z półki dwóch olbrzymich tomów edycji Pawlikowskiego i do podbudowania na nowo z kapryśnymi, przeozdobionymi stancami poety.

Należy się natomiast spierać przede wszystkim o dobór muzyki do „Króla-Ducha". Zredukowanie preludiów czy etiud Chopina do... ilustracji muzycznej dowodzi już nie braku smaku, ale braku taktu. Nie można słuchać równocześnie słów poematu i muzyki Chopina, bo jedno wypiera drugie. Dalej — nie wolno fragmentów „Króla-Ducha" przerabiać na s k e c z e, w których np. lirnik (dzierżący na dobitek lirę g r e c k ą) zgrywa się po amatorsku i robi miny, król macha drewnianym mieczem, a reszta zespołu im w tym przeszkadza.

Wprowadzenie mimiki, purpurowych płaszczów i rekwizytów spacza wyraźnie styl tego teatru, o ile w ogóle może być tutaj mowa o stylu; w każdym razie spacza jego program i zamiary. „Król-Duch", jaki oglądaliśmy w Teatrze Rapsodycznym, przywodził na myśl teatr domowy z lat dziecińśtwa, kiedy to starszy brat wyciągał drugał miecz, młodsze dzieci ukostiumowały się w kapy z łóżka i serwety — i zainscenizowały na imieniny mamy „Powrót taty".

Traci ten cały Teatr Rapsodyczny naszą poczciwą polską l i p ą, jeno że lipą bardzo uroczystą (tilia solemnis)... Brak smaku i dyletantyzm, przy równoczesnym głoszeniu szumnych haseł i paleniu kadzideł jubileuszowych, budzi niepokój i troskę o tę instytucję, która w czasie okupacji spisywała się tak dzielnie, a teraz chyli się ku upadkowi.

Artur M. Swinarski

Korespondencja?

SPROSTOWANIE W FORMIE LISTU
Do redaktora „Odrodzenia"

Ze wszystkich dziwnych przygód, jakie przeżył wolterowski Zadyg, najgorsze było chyba spotkanie ze składaczem „Odrodzenia", który usiłował mu zmienić płeć (Zadyga, Zadygi, Zadygę...).

Pragnąłbym też wyjaśnić, że wprawdzie często filozofowie parali się mitologią, a nawet niektórzy spośród nich byli zdecydowanymi mitomanami, to jednak jeśli idzie o słownik mitologiczny Roschera — dukwili nad nim nie filozofowie, jak wydrukowano, lecz filologowie.

Pozwolę sobie również zauważyć, że wychowaczy program drugiego maga nie był taki niejasny, jakby się z Nr. 48 „Odrodzenia" wydawać mogło. W rzeczywistości brzmiał on krótko i szlachetnie: „Ja zaś, rzecze drugi, starać się będę, abym go uczynił sprawiedliwym i godnym mieć przyjaciół". Na jakiej podstawie ob. składacz sądzi, że każdy pedagog ideolog musi być mętniakiem?

To byłyby najważniejsze błędy rzeczowe; o literowe nie będę się wadził. Z przykrością podaję Panu do wiadomości, że w razie dalszego złośliwego ośmieszania filozofów i wychowawców w moim imieniu, zmuszony będę wnieść solenną protestację ogólną i cofnąć ob. Wacławowi Kubackiemu upoważnienie do korzystania z mej teki.

Z poważaniem

Dr Prot Sowizdrzał

P. S.

Przesyłając do wiadomości Pana list Dr. Profesora Sowizdrzała dodaję od siebie, z powodu ogłoszonej „fraszki na przyjacioły" („Odrodzenie" nr 45), że Feliński zamiast nowszej formy „przekleństwa" użył starszej „przeklęstwa" i że „kinala" (czyli waleta żołędnego albo czerwiennego) nie było powodu honorować, drukując go dużą literą, jak imię własne.

Łączę wyrazy poważania i łaskawym względom łańskich korektorek się polecam

Wacław Kubacki (Poznań)

W SPRAWIE PŁCI KOREKTORÓW
Do redaktora „Odrodzenia"

W związku ze sprostowaniem pp. dra Prota Sowizdrzała i Wacława Kubackiego, nie wchodząc w meritum zagadnienia przynależności płciowej Zadyga, prosimy wyżej wymienionych Panów o przysyłanie czytelniejszych rękopisów.

Przy okazji stanowczo protestujemy przeciw zaliczaniu nas wyłącznie do płci nadobnej.

Korektorzy „Odrodzenia" (Kraków)

SPROSTOWANIE
Do redaktora „Odrodzenia"

W wierszu moim (Odrodzenie, nr 46) znalazłem błąd zniekształcający sens. Pierwsze zdanie winno brzmieć:

Niebliski los omijał śmierć
na bliskie dłonie spadał
nieznanych mi.

Jerzy E. Miller (Łódź)

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK. — Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12. — Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, telefon 545-60-62.
Prenumerata kwartalna 120 zł.
M — 16 642 Złożono w Drukarni Narodowej, odbito w Pierwszej Drukarni Państwowej w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".